POLSKA WALCZĄCA

ŻOŁNIERZ POLSKI NA OBCZYŹNIE

FIGHTING POLAND — WEEKLY FOR THE POLISH FORCES — PRICE TWOPENCE

Wychodzi co tydzień *Dnia 1-go kwietnia 1944r.* **Rok VI. Nr. 13**

DNIE I GODZINY

Imperium Brytyjskie jest organizmem, którego kościec stężał w walkach rozległych, trudnych i krwawych. Były chwile, kiedy wydawało się, że zadania i trudności są ponad siły nawet tak potężnego kolosa. Na początku wieku dwudziestego kłopoty te sięgały Australii, która wyzwalała się coraz bardziej spod wpływów macierzy, uchwalając projekt konstytucji na zasadach federacyjnych i Stanów Zjednoczonych, z którymi stosunki dotąd poprawne uległy pogorszeniu na tle sporu o granice Venezueli, Indii i Chin. W tym samym czasie wybuchła wojna burska trwająca dwa lata pomimo szalonej przewagi brytyjskiej. W czasie tej wojny umiera królowa Wiktoria. To dużo nawet jak na imperialne stosunki.

Po przejściu szeregu wewnętrznych kryzysów, przeprowadzeniu szeregu doniosłych uchwał dotyczących zdrowia, domów i bezpieczeństwa mieszkańców Wysp, Anglia, a z nią Imperium, stała mocno, nienaruszona w dalszym ciągu. Poprzez konflikty mniejsze, ale groźne, Imperium potrafiło zachować dość sił i sprężystości, by wygrać konflikt wielki, na skalę światową, jakim była wojna poprzednia. Imię Imperium stanęło wysoko w hierarchii pojęć siły i idącej za tą siłą sprawiedliwości. Podobnie jak Francję po rewolucji, Anglię utożsamiano z pojęciem wolności i prawa. Powaga brytyjskiego imienia stała bardzo wysoko.

Wojna obecna *prestige* ten podniosła do wyżyn nienotowanych w historii Wielkiej Brytanii. Nie zdając sobie sprawy z tego faktu, stali się Brytyjczycy dla milionów mieszkańców okupowanej Europy symbolem walki, symbolem wszystkiego co zawiera w sobie słowo: sprawiedliwość. Historia tej wojny, zawiła, pełna niespodzianek, wykazała jednak przez długie lata konsekwencję pełną i zupełną—brytyjskich celów wojny. Stąd entuzjazm dla Anglii w świecie, stąd wynoszenie jej imienia niemal na ołtarze, stąd pęd do nauki trudnego języka w warunkach teroru i okupacji, stąd popularność angielskiej literatury, malarstwa, sztuki, stąd twórczość nowa na Kontynencie o tej nowej i tak bardzo niedostępnej Ziemi Obiecanej.

I oto dzisiaj, w momencie tak bardzo krytycznym dla sprawy polskiej i dla celów wojny Narodów Zjednoczonych, pada pytanie: jak obywatele Imperium potrafią wyzyskać ten ogromny kapitał posiadanego zaufania? Jak potrafią zużytkować kapitał ogromnej siły i jaki kształt nadadzą powojennemu światu?

Pytanie to stawia znakomita dziennikarka, autorka szeregu książek, Dorota Crisp. Jej ostatnio wydana broszura p.t. *"Future of Europe"* stawia tezę o konieczności utrzymania brytyjskiego *prestige'u* za wszelką cenę. Na tym opiera się nie tylko nasze istnienie — pisze p. Crisp — lecz życie Europy. Bez wiary w Anglię i jej Imperium nie będzie do tej Anglii i tego Imperium zaufania. Zaufaniem i wiarą żyją dzisiaj miliony. Przykład brytyjski jest natchnieniem walki, jest jasnym promieniem skazańców w chwili śmierci. Probierzem zaufania do Anglii jest sprawa polska. Wierzące miliony z niepokojem obserwują jej przebieg. Anglia gwarantowała Polsce granice — szacunek dla niej daje szacunek dla jej gwarancji. Gwarancje dane Polsce winny być kamieniem węgielnym naszej polityki zagranicznej, muszą być kamieniem węgielnym nowego życia Europy.

Gdy czyta się te słowa, robi się jakoś raźniej, jakoś lepiej i jakoś pewniej. Więc przecież jeszcze są ludzie myślący prosto, uczciwie, rozumnie. Przecież są jeszcze obrońcy tej wielkiej wiary brytyjskiej, rozsianej po Europie! Jeszcze są tacy, którzy pojmują, co znaczyłaby utrata tej wiary dla ludzi niepewnych dnia, ani godziny, dla zaszczutych mieszkańców okupowanego świata.

I zaraz potem wraca myśl do rzeczywistości, do chwili bieżącej. Idąc ulicą w tłumie tychże obywateli Imperium, chciało by się świadomość tej wiary rozsiewać wśród nich, mówić im o niej, nalegać, molestować, by zechcieli fakt ten wagi wielkiej przyswoić sobie na zawsze. Bo przecież dopiero od uświadomienia zaczyna się moment odpowiedzialności, dopiero od tej chwili spodziewać się można konsekwentnych czynów.

I kiedy po przeczytaniu takiej broszury nasza z kolei świadomość poczyna pracować szybciej, bardziej celowo i bardziej jasno, zaczynamy liczyć dnie i liczyć godziny. Nie te stracone, bo nie warto. Lecz te, które zostały, te, które nam los łaskawy da jeszcze na wykorzystanie pełne, na głoszenie sprawy naszej wśród obcych, na pomaganie przez to nie tylko sobie, nie tylko Krajowi i jego mieszkańcom, nie tylko Europie i jej ludom, lecz także innym. Ci inni, to obywatele brytyjskiego Imperium.

Ciężko jest bardzo wytłomaczyć sytemu, co znaczy głód. Trudno jest uzmysłowić pozbawionemu wzroku piękność obrazu. Tym nie mniej można się o to starać i można dojść do rezultatów. A gdy medycyna potrafi wzrok przywrócić, były ślepiec wdzięczny będzie za przygotowanie go na moment ponownego widzenia. Momenty takie z reguły są dla chorego trudne do przetrzymania — przez ogrom wrażeń i siłę słonecznego światła.

W zetknięciu z Brytyjczykami mówimy im dzisiaj o Polsce, jej zagrożonym bycie niepodległym i jej wkładzie do wojny bardzo krwawym i bardzo tragicznym. Mówimy także, że nikt z Polaków nie żałuje poniesionych ofiar, byle by tylko nie poszły na marne. Powiadamy, że postawiliśmy lat temu już blisko pięć na jeden numer, na którym napisane były słowa o niepodległości i wolności i w dalszym ciągu na tym numerze leży cały nasz kapitał. Powiadamy, że liczymy na nich, że bez nich zostalibyśmy sami na świecie, jeszcze bardziej sami, aniżeli oni w roku czterdziestym, kiedy przecież mieli tutaj nas, razem z naszą skromną, lecz niezłamaną armią, z naszym lotnictwem i naszymi okrętami wojennymi. Byliśmy aliantem nieznacznym, ale przecież w chwili samotności każdy jest pożądany, każdy jest ceniony. Dlatego Churchill i Sikorski powiedzieli sobie, że oba kraje związały się na śmierć i życie. Dzisiaj w obliczu wypadków politycznych, w obliczu zmiennych kolei wojny, słowa te nabierają specjalnego posmaku, głębszego znaczenia. I jakże bardzo są prawdziwe!

Sposobności do przypominania tych słów nie brak. Każdy z nas dzisiaj już mówi to, co chce powiedzieć, każdy ma kontakty, znajomości. Lecz te są najistotniejsze, które trafiają do ludzi innych, niż gospodynie szkockie, niż członkowie towarzystw nam przyjaznych. Te są ważne, które dają szersze perspektywy, dalekie oddźwięki. Jest ich też trochę, lecz już znacznie mniej, znacznie bardziej trudnych do uchwycenia. Rozmowom przyjacielskim przeszkadza atmosfera niechęci, wytwarzana przez pewien odłam prasy, sugerującej zmęczenie Polakami, ich "bezsensownym oporem", ich rzekomym nacjonalizmem, ich rzekomą małostkowością.

Środowisk obojętnych dziś nie ma. Wszystkie są zainteresowane, ciekawe, żądne wiadomości. Środowiska wojskowe może specjalnie, może bardziej, niż jakiekolwiek inne, ponieważ mundur pozbawia wpływu na bieg wypadków, odbiera możliwość publicznych wystąpień, nakłada obowiązki walki w polu, nie walki słowem i piórem. Wojsko też pierwsze winno być wspomagane przez swych polskich kolegów — należy im mówić o tym kapitale zaufania, jaki imię brytyjskie posiada na świecie. To daje poczucie celu walki, bardziej, niż wszelkie uczucia patriotyczne, bardziej, niż otrzymywane rozkazy. — Idę ich uwolnić, ponieważ wierzą, że przyjdę, ponieważ na mnie czekają. Idę by w ten sposób zbudować pomost wielkiego zaufania na wieki dla moich dzieci i wnuków. Idę, aby na wieki imię Anglika symbolizowało na świecie walkę o sprawiedliwość.

Co tydzień na uniwersytecie oxfordzkim zbiera się kilkudziesięciu żołnierzy wojsk imperialnych po to, by wysłuchać szeregu wykładów i o tym Imperium i o Europie i o sytuacji wojennej. W drodze wyjątku do owych kursów dopuszczono żołnierzy armii alianckich—głównie Polaków. Skład słuchających jest różny—od szeregowego do marszałka. Przy tym nie ma różnicy stopni na czas wspólnego pobytu. Wszyscy mieszkają w jednakowych studenckich pokojach, wszyscy mają prawo głosu w dyskusji. A dyskusje są długie, poważne, istotne, formujące często w młodych umysłach poglądy zgoła nowe, rewidujące pojęcia stare i oparte na fałszywych przesłankach. Nic bowiem tak nie trafia do przekonania jak argument kolegi, podany prosto, w atmosferze wzajemnego zaufania, poczucia zupełnej szczerości.

Oto okazja znakomita, powtarzająca się co tydzień dla uświadamiania mundurowej opinii o polskiej sprawie jako probierzu utrzymania powagi i szacunku brytyjskiego Imperium w Europie i na świecie. Oto jeden z przykładów kontaktów, jakie stworzyły okoliczności wojenne, pełne niespodzianek, sytuacji dziwnych i zastanawiających, kiedy to żołnierz polski na oxfordzkim uniwersytecie stawia sobie zadanie uświadamiania swych brytyjskich kolegów o tym, czego świat od nich oczekuje. Poprzez wrześniową klęskę, francuskie bitwy, poprzez Narwik i Libię, wojnę w powietrzu i na morzu, zyskaliśmy sobie niezaprzeczalne prawo do mówienia i krzewienia tych ideałów, dla których przecież istnieje i żyje Polska w ucisku chyba nieznanym dotąd ludzkości.

Liczymy dni i liczymy godziny. Takich Oxfordów jest więcej, o ile tylko potrafimy do nich dotrzeć. Takich cegiełek do budowy przyszłego świata dołożyć możemy wiele, jeżeli tylko potrafimy je zbudować na sposób angielski, australijski czy amerykański. Własne sposoby najlepiej przecież przemawiają do przekonania. Rzeczy cudze przyjmowane są z reguły nieufnie.

Nie jest za późno, by takie metody stosować, by się ich uczyć i by owe kursy wOxfordzie, czy gdziekolwiek indziej obsadzać doborowymi ludźmi. Przez jeden tydzień mogą tam zrobić więcej dla polskiej sprawy, niż wiele artykułów i interpelacji w Izbie Gmin. Mogą także rozpocząć naprawę owego muru zaufania, który nadkruszył się ostatnio w sposób widoczny i znaczny. Poprzez Europę przeszedł dreszcz rozpaczy i dreszcz śmiertelnego lęku, że oto Anglia odwraca się od niej tyłem, że teraz już nie znajdzie nigdzie oparcia, że musi zginąć.

Tak nie jest. Imperium Brytyjskie, które przeszło już bardzo wiele, musi przetrzymać także ten moment. Imperium to zbudowane na wzajemnym zaufaniu złączonych koroną ludów wie, że siła jest czynnikiem chwilowym i czynnikiem zwodnym. Dlatego nie postawi na nią, choć by wskazywały na to pozory. I dlatego sprawa polska będzie sprawą wygraną. Dlatego wygrana będzie też sprawa Europy.

Lecz trzeba się do tego przyczynić. Trzeba im mówić, tłomaczyć, wyjaśniać. Trzeba na forum publiczne wystawiać ludzi, którzy brytyjski punkt widzenia potrafią wyłuszczyć ustami Polaka w sposób przekonywający i jasny. Ludzi, którzy w zagadnieniu niepodległości naszego kraju widzą zagadnienie celów wojny Sprzymierzonych Narodów i którzy zgadzają się ze zdaniem wypowiedzianym niedawno przez innego pisarza ukrytego pod anonimową firmą wydawcy: *"To England should fall the natural leadership in the war, as well as in the peace which will follow. She alone can be the arbiter of European destiny without being the master of Europe. To her above all, the nations of Europe look for leadership; to her, when the war is over, even the enemy will look . . . ."*

Jeżeli zdołamy w przeciągu tych niewielu pozostałych dni i godzin przekonać naszych gospodarzy o słuszności tego zdania, jeżeli potrafimy im to na tle sprawy polskiej uświadomić zrobimy wielki krok naprzód — w kierunku domu, w kierunku wolnej Europy i sprawiedliwego pokoju.

ZYGMUNT NAGÓRSKI, jr

ARTUR HOROWICZ: Wykopywanie miny



Szkic sytuacyjny

WOJSKA ROSYJSKIE IDĄ NAPRZÓD

Oddziały sowieckie znajdują się tuż nad granicą rumuńską idąc na Prut. Płoskirów został zajęty, podobnie jak Zaleszczyki; ataki wojsk rosyjskich idą na Balti i na Kamieniec Podolski. Front na południu utrzymuje się jeszcze koło Mikołajewa, ale Wozniesiensk padł i trzymanie Odessy nie jest już zbyt długo możliwe. Przypuszczać należy, że Krym jest pośpiesznie ewakuowany. To, że trzyma się on tak długo, tłomaczyć należy zarówno tym, że nacisk sowiecki nie jest tam wielki — albowiem nie jest to front pierwszej rangi — jak i tym, że wojska niemieckie stale usiłują utrzymać długo takie przyczółki /przypomnieć sobie należy jak długo Niemcy trzymali się na skraju Kaukazu, a potem na Kerczu/.

Cofanie się frontu niemieckiego jest zjawiskiem stałym i nie widać, gdzie by ten front miał się "zatrzymać". Prawdopodobnie nie zatrzyma się on, ale będzie stale falował, cofał się, poruszał w sposób niewątpliwie nierówny, czasem dziwaczny. Zwijanie tego frontu postępuje na zasadach dla nas nie do odczytania, albowiem nie znamy elementów gry, ani linii przewodniej strategii niemieckiej. Raz po raz strategia niemiecka jakby wyjmuje kołki tu czy tam i zwija namioty, trzyma dany punkt przez jakiś czas — jak obecnie Tarnopol — ażeby potem się z niego usunąć. Przypuszczalnie straty sowieckie przy tego rodzaju akcjach są bardzo poważne, ale wysiłek żołnierza niemieckiego nie jest mały. Wymaga to bowiem ustawicznej czujności, stałej walki. Zmęczenie wojska niemieckiego — jakkolwiek t.zw. duch jest podobno dobry — odgrywa swoją rolę w tych walkach uniku i natarcia.

Jakie oparcie dadzą Karpaty wojskom niemieckim, tego nie sposób dzisiaj ocenić. Ponieważ jednak łuk Karpat biegnie nie wzdłuż linii frontu, wykorzystanie tych gór nie może być zbyt wielkie. Karpaty mogą natomiast stanowić pewnego rodzaju kościec dla frontu w chwili, gdy wojska sowieckie wejdą do Rumunii. Teren Rumunii nie będzie łatwy i górzysty obszar odegra swoją rolę.

Ale już dzisiaj dowództwo sowieckie w przewidywaniu trudności terenowych zaczyna nasycać pozafroncie spadochroniarzami. Już dzisiaj działają oni na Rusi Przykarpackiej. Jest to dla nich teren idealny, podobnie jak cały łuk Karpat. Wojska niemieckie obsadziły przełęcze karpackie, nie ufając — z ich punktu widzenia słusznie — wojskom węgierskim. Okazało się, że armia węgierska, o sile do 500,000 nie wiele znaczy: widać jasno, że nie miała ochoty bić się z Niemcami, ale przypuszczalnie nie będzie się ona biła z nikim. Apatia, która pojawiła się we Włoszech, jest bodaj także udziałem Węgier.

ZAJĘCIE WĘGIER

Gra węgierska skończyła się. Wiadomo było, że nie może ona być wieczna. Gdyby Rzesza trzymała jeszcze front wschodni, Węgry mogłyby liczyć na dalsze "wymigiwanie się". Ale przybliżanie się frontu wschodniego położyło kres tym sztuczkom. Węgry liczyły na to, że uda się im to, co powiodło się Szwecji i że nie zostaną objęte zaborem niemieckim. Poszły również na tranzyt i inne udogodnienia dla wojsk niemieckich, ale strategiczny walor Węgier sprawiał, że powtórzenie sytuacji Szwecji było niemożliwe. Niemożliwe było także przejście Węgier na neutralność. Na to Rzesza nie mogła pozwolić, podobnie jak nie mogła pozwolić we Włoszech.

Sytuacja węgierska przypomina pod pewnymi względami włoską. Podobnie jak we Włoszech Niemcy mieli powody do żywienia przypuszczeń, że Włochy mogą być szybko zajęte, albowiem armia włoska nie ma ochoty walczyć, tak samo co do Węgier Niemcy uważali, że lepiej je zająć, albowiem wtedy mają pewność, że teren ten będzie odpowiednio broniony. Hitler najwyraźniej nie ufał politykom węgierskim, którym uśmiechały się jakieś kontakty z zagranicą, nie wierzył Węgrom w tej krytycznej chwili, a wartość ich armii oceniał b. nisko. Opór stawiany przez wojska węgierskie był żaden.

Co może politycznie uzyskać ten kraj? Jeżeli odpowiednio zorganizuje jakieś ośrodki /Sztokholm?/, to wtedy istnieją jeszcze jakieś możliwości. Podobny proces, który swojego czasu oglądaliśmy z okazji powstania rządu Vichy, widzimy i dzisiaj w odniesieniu do Węgier. Pewni posłowie węgierscy, jak poseł w Sztokholmie oraz Helsinskach opowiadają się za niezawisłym ruchem przeciwko rządowi Sztojay, zmadziaryzowanego Słowaka czy Chorwata, który nie od dzisiaj współpracował z Berlinem. Grupa hitlerowców węgierskich nie jest liczna, ale jest niewątpliwie ruchliwa. Rola Horthy'ego nie przedstawia się w tym wszystkim jasno. Widocznie nie bardzo wierzył on w możliwość wyjścia Węgier z matni niemieckiej. Czy premier Kallay, który podobno ukrywa się gdzieś na obszarze Węgier, zdoła uciec, i czy zdoła powołać do życia jakiś rząd — nie wiemy.

Nad tym wszystkim unosi się bowiem pytanie, jak wobec Węgier zachowa się dyplomacja sowiecka i jakie są plany Rosji? Wiemy dzisiaj, że Węgry mają pójść pod okupację sowiecką, ale nie wiemy, czy będą one okrojone na korzyść Rumunii /podobno bowiem Rosja gotowa jest dać Rumunii cały Siedmiogród wzamian za odstąpienie Besarabii/, czy też przeżyją nie najgorzej.

LOS RUMUNII

Rumunii nie powiodło się również wywikłanie z sieci niemieckiej. Podobno Antonescu i jego brat wezwani do kwatery Hitlera zostali tam przetrzymani. Podobno przewódca Żelaznej Gwardii Horia Sima gotuje się do objęcia rządów. Było by to zupełnie zrozumiałe. Oporu nie będzie chyba nikt stawiał. Armia jest w stanie depresji, poniosła ona klęski i straty, oficerowie rumuńscy zależni są od żołdu niemieckiego. Politycy rumuńscy starej daty są tak starzy, że zbytnio się nie liczą. Starania księcia Stirbey nie przyniosły na razie skutku. B. król Karol z wytwornej plaży na Kubie czy z innej pięknej krainy powiada, że "Rumunia jego pragnie". Nie wiemy, czy król się nie myli. Rumunia zdaje się już niczego nie chce, jest rozbita, i zdezorientowana. Dlatego też okupacja niemiecka nie napotka na opór.

CO Z BUŁGARIĄ?

Bułgaria jest w nieco innym położeniu, albowiem ma zaszanowaną armię, która lubi się bić, ma jakitaki rząd, a rozmiary okupacji niemieckiej są najmniejsze. Ale czy Bułgaria będzie chciała wyskoczyć z wojny? Jeżeli Turcja nie rusza się — na razie bowiem nie wygląda na to, by sytuacja zmieniła się na tym odcinku — to Bułgaria może pozostać w spokoju. Nacisk niemiecki na ten kraj nie będzie jeszcze działał przez jakiś czas, ale być może również, że Rzesza zdecyduje się na szybkie opanowanie tego obszaru, doszedłszy do wniosku, że jednak bezpieczniej i tym patrzeć na palce.

Nie ma dwóch zdań, że tego rodzaju poruszenia niemieckie zdradzają takie oto przesłanki:

1/ *Rzesza rezygnuje z obrony "fortecy: Europa" i coraz bardziej koncentruje się na obronie "fortecy: Rzesza"*,

2/ *Niemcy postanowiły bronić wszystkich frontów, nie wierząc lennikom*,

3/ *oznacza to rozproszenie sił niemieckich*.

Ale widocznie sztab niemiecki dochodzi do wniosku, że nie ma innego wyjścia.

GRANICE OKUPACJI W EUROPIE

Londyński *"Observer"* z dnia 26.III. ogłasza to, co nie od dzisiaj było wiadome i co "pocztą pantoflową" kursowało od wielu tygodni. Są to wyniki narad teherańskich.

Według tych danych, okupacja Europy przedstawiać się będzie następująco:

1/ *Rzeszą po Odrę zajęta będzie przez wojska brytyjskie — jednakże południe kraju, a więc Bawaria, Saksonia, Wirtembergia przypadnie w udziale wojskom amerykańskim*,

2/ *Berlin zajęty będzie przez wojska trzech mocarstw: Anglię, USA i Rosję*,

3/ *Rosyjska okupacja sięgać będzie po Odrę, potem pójdzie na południe ku Dunajowi i iść będzie Dunajem. Oznacza to, że Rosja obejmie: Polskę, Prusy Wsch. aż po Szczecin, Czechosłowację w całości, Węgry, Rumunię; los Jugosławii i Bułgarii nierozstrzygnięty; Grecja wyraźnie należy do strefy brytyjskiej.*

4/ *Co do Austrii, to pierwotnie istniał plan, ażeby stacjonowane tam były tylko wojska amerykańskie. Obecnie jednak strona sowiecka nalegała na to, ażeby wojska sowieckie znalazły się także w Wiedniu. Zanosi się zatem na okupację trzech mocarstw i tam.*

Tego rodzaju plan rozważaliśmy na tych łamach, jakkolwiek wyrażaliśmy zaraz po Teheranie przypuszczenie, że może garnizony mieszane sięgną na wschód od Odry. Teraz widać, że okupacja sowiecka zajmie wszystkie obszary po Odrę.

Na tym tle, podobnie jak na tle uznania Badoglia przez Rosję i na tle stałej ofensywy dyplomatycznej Sowietów, podnoszą się głosy w USA i w Anglii, domagające się uaktywnienia polityki brytyjskiej i amerykańskiej. *"New York Times"* z dnia 25 marca powiada, że "Rosja panuje nad dyplomacją aliancką" i że "coraz więcej obywateli w krajach sojuszniczych zadaje sobie niepokojące pytanie: o co właściwie walczymy?"

Ujęcie to jest słuszne. Zaniepokojenie polityką sowiecką, która — jak to wykazywaliśmy parokotnie — ma wolę i wizję, ma swój plan i niebywałą żywotność — rośnie. Niezadowolenie z powodu bierności polityki sojuszników zachodnich jest coraz szersze wśród mas. Dowodem tego pogłoski, jakie przynosi *"Observer"* z dnia 26 marca, że p. Eden mógłby przestać piastować godność ministra spraw zagranicznych. Pismo to przyznaje, że p. Eden jest przedmiotem krytyki zarówno mas, jak i "od góry" i że względy wojskowe parokrotnie już "przeszły nad głową *Foreign Office'u*".

Zmiana taka mogłaby wysunąć na front albo Lorda Beaverbrooka albo Richarda Law. Niezadowolenie z bierności polityki brytyjskiej wynika z rosnącego przekonania, że sojusznicy przegrywają wielkie stawki w Europie przez swoją bierność i brak planu. Mowa radiowa Churchilla z dnia 26.III. — słowa te piszemy przed jej wygłoszeniem — będzie miała chyba na celu jakoś tej sytuacji zaradzić.

Londyn, dnia 26 marca 1944.

ZBIGNIEW GRABOWSKI

Z tygodnia na tydzień

19 marca: W nocy z 18/19 polski dywizjon bombowy patrolował nad Zatoką Biskajską. Wszystkie załogi wróciły.

—Załoga polskiego nocnego dywizjonu myśliwskiego zestrzeliła wieczorem bombowiec niemiecki Heinkel 177.

20 marca: W Moskwie ogłoszono, że wojska sowieckie zajęły Mohylów Podolski, Winnicę, oraz na terenie polskim Radziwiłłów. Walki toczą się na płd.-zachód i południe od Dubna.

—W nocy z 19/20 polski dywizjon bombowy patrolował nad Zatoką Biskajską. Wszystkie załogi powróciły.

—Lotnictwo amerykańskie bombardowało silnie za dnia Frankfurt nad Menem.

—Polski lekki dywizjon bombowy atakował za dnia wyznaczone cele na terenie nieprzyjacielskim. Wszystkie załogi powróciły.

—Polskie skrzydło myśliwskie osłaniało wyprawę bombową. Do spotkania z lotnictwem nieprzyjacielskim nie doszło. Wszyscy piloci powrócili.

—Piotr Pucheu, b. minister spraw wewnętrznych rządu w Vichy został rozstrzelany w Algierze, z wyroku trybunału specjalnego, za zdradę stanu.

21 marca: Prasa brytyjska podała wiadomość, że wojska niemieckie zajęły Węgry.

—W nocy z 20/21 polski dywizjon bombowy patrolował nad Zatoką Biskajską. Wszystkie załogi powróciły.

—W Moskwie ogłoszono, że Czerwona Armia zajęła w Polsce m. Podkamień i m. Werba, oraz m. Ataki w Besarabii, linia kolejowa Czerniowce-Bielce została przecięta.

22 marca: W Berlinie ogłoszono, że premierem węgierskim został gen. Sztojay, dotychczasowy minister pełnomocny w Berlinie.

—W Moskwie ogłoszono o zajęciu m. Perwomajsk nad Bohem i m. Naduszyta w Besarabii.

—W nocy z 21/22 polski dywizjon bombowy patrolował nad Zatoką Biskajską. Wszystkie załogi powróciły.

—W nocy z 21/22 lotnictwo niemieckie przeprowadziło nalot zapalający na Londyn.

—Lotnictwo amerykańskie bombardowało silnie Berlin za dnia.

—Ogłoszono, że wojska japońskie wkroczyły na terytorium Indyj /Manipur/.

23 marca: W nocy z 22/23 lotnictwo brytyjskie bombardowało b. silnie Frankfurt nad Menem. W nalocie brało udział ponad 1.000 bombowców. Zrzucono około 3.000 ton bomb.

—W nocy z 22/23 polski dywizjon bombowy patrolował nad Zatoką Biskajską. Wszystkie załogi powróciły.

—W nocy z 22/23 lotnictwo niemieckie w czasie krótkiego nalotu bombardowało Londyn.

—Za dnia lotnictwo amerykańskie z baz w W. Brytanii bombardowało b. silnie Hamm.

—W Moskwie ogłoszono, że wojska sowieckie podjęły ofensywę w rejonie Tarnopol-Płoskirów. Na ziemiach polskich zajęte zostały: Trembowla i Kopyczyńce.

—Rada Ministrów R.P. powzięła uchwałę powołującą do życia Państwową Radę Lotniczą.

Nowości lotnicze

Curt Riess w swym niezwykle ciekawym wstępie do książki Hermana p.t. "*The rise and fall of the Luftwaffe*" cytuje powiedzenie pewnego Brytyjczyka, nie podając jego nazwiska: "*Luftwaffe*, powietrzna siła Niemiec, nie będzie miała więcej decydującego znaczenia w rozwoju wypadków drugiej wojny światowej, bez względu na czas jej trwania". Niewątpliwie usłyszymy jeszcze niejedno o *Luftwaffe*, nim wojna się zakończy. Lecz nie ulegajmy złudzeniom: *Luftwaffe* nie będzie mogła być więcej używana, jako decydująca broń w rękach kierowników Niemiec. Stała się ich bronią drugorzędną o znaczeniu taktyczno-pomocniczym".

Powiedzenie to pochodzi sprzed dwu lat i sprawdziło się w zupełności. Rzeczywiście nie ulegajmy złudzeniom: mimo iż *Luftwaffe* dzielnie stawia czoło nalatującym na Niemcy powietrznym armiom brytyjsko-amerykańskim, mimo iż w swych aż nadto ambitnych zamiarach rewanżu, podniecona koniecznościami natury propagandowej znowu uderzyła na Londyn — *Luftwaffe* nie tylko nie może marzyć o pokonaniu przeciwnika na ziemi, lecz nie może także marzyć — już nie mówmy o inwazji — lecz po prostu o opanowaniu powietrza nad terenem, gdzie będą działy się najważniejsze wypadki tej wojny: ofensywa Aliantów na kontynent.

Pisaliśmy o tym momencie i podkreślaliśmy, że powietrze spłynie krwią i zawlecze się dymem spalonych maszyn. Walki będą ciężkie i bezwzględne — lecz nie ma więcej szans zwycięstwa dla *Luftwaffe* . . .

Czy Londyn tedy ucierpi więcej, czy też ucierpi mniej, nie ma znaczenia dla zakończenia wojny. Klamka zapadła. *Luftwaffe* przegrała swą wojnę ofensywną w roku 1939 i na skutek szeregu przyczyn — już dzisiaj przegrała walkę defensywną nim ją jeszcze zaczęła. Oto ogólny obraz sytuacji *Luftwaffe*. Jakkolwiek losy tej wojny potoczyć się mogą, ta sytuacja już się nie zmieni.

Pięknym wyczynem lotniczym Sprzymierzonych była operacja burmeńska, której szczegóły dopiero teraz dostały się do wiadomości publicznej. Przerzucenie wielkich jednostek powietrzem, przy użyciu wszystkich dostępnych środków, o 150 mil poza linie nieprzyjacielskie, jest wyczynem nie lada. Nie będziemy omawiali szczegółowo operacji, gdyż na ogół rzeczy dostępne zostały już opublikowane, strony fachowej jednak poruszać jeszcze nie należy. Wskazujemy na fakt rozwijania się właśnie w tym trudnym terenie południowo-azjatyckim nowych systemów walki, które gdzieindziej może nie dały by tak wielkich rezultatów przy niewielkich stratach.

W dzisiejszej wojnie, przy ogromnej różnorodności frontów, można na każdym z nich próbować odmiennych doświadczeń, które później dają się przenosić na inne fronty, oczywiście po pewnym przystosowaniu. Jednak charakterystycznym zjawiskiem, zresztą nie nowym, pozostaje jedno: nie wolno stosować jednych i tych samych sposobów taktycznych w schematyczny sposób na wszystkich frontach. Pewna sztywność taktyczna, która zawsze charakteryzowała Niemców w tej wojnie, kosztowała ich bardzo dużo. Chwyty taktyczne stosowane n.p. w Polsce, gdzie wobec nielicznych centrów komunikacyjnych, po zbombardowaniu około 10 miejscowości łamało się system drogowo-kolejowy — nie powinny były być zastosowane we Francji, a zupełnie nie chwyciły w W. Brytanii w 1940 i 1941 roku.

Mimo wielkiego wysiłku, jaki włożyli Niemcy w bombardowanie środkowej i południowej Anglii, przy największym natężeniu operacji lotniczych — system komunikacyjny dalej funkcjonował. Wynika z tego reguła, o której dobrze pamiętać należy: szeroko rozbudowana sieć drogowa i kolejowa jest poważnym gwarantem dobrej przeciwlotniczej obrony kraju.

Dlatego też dotychczasowe doświadczenia wojenne upoważniają do wniosku, że inwazja kontynentu północno-zachodniego napotka na duże trudności, które rozwiązane być mogą jedynie przez stałe działanie wielkich mas lotnictwa strategicznego. Ten atut, jak przypuszczamy znajdzie się w rękach Aliantów. Nie należy jednak nie doceniać atutu rozbudowanych szeroko komunikacji w rękach nieprzyjaciela.

Okręt i samolot uzupełniają się obecnie w nowoczesnych działaniach morskich i stanowią dziś jedną siłę.

Pierwszy Lord Admiralicji onegdaj przemawiał do słuchaczy pewnej szkoły morskiej i odsłonił w swym przemówieniu szereg bardzo interesujących cyfr, dotyczących walki z okrętami podwodnymi. Nie przytaczając cyfr zatopionych okrętów i ich stosunku do niezatopionych w 1940 roku, Mr. Alexander stwierdził, że w roku 1941 zatapiano 1 okręt na 181. Z chwilą kiedy do akcji przystąpiły samoloty *Coastal Command*, a ponadto *Fleet Air Arm* została bogato rozbudowana, już 1941 rok przyniósł obniżenie procentu strat do 1:233, zaś w drugiej połowie 1943 procent ten spadł do 1:1000.

Jednak Niemcy nie pogodzili się z porażką. Choć w tym okresie czasu, a więc 1940 — 1943, stracili w sumie całą swą flotę, jaką rozporządzali jeszcze w 1941 roku, to jednak flota ich nie uległa liczebnie zmniejszeniu wobec przyśpieszenia produkcji jednostek podwodnych. Dopiero ostatnio spadła na skutek bombardowań.

Obecnie strategia i taktyka w walce z okrętami podwodnymi uległa olbrzymim zmianom. N.p. tropienie ich przez lotnictwo w portach i bazach, oraz niszczenie na postojach, nie daje zbyt dużych rezultatów, wobec ogromnej rozbudowy podziemnych schronów dla okrętów podwodnych. Raczej zwalcza się je na morzu, wykorzystując koncentracje ich przy atakach na konwoje. Taktyka ta jest słuszna i przyniosła ogromne wyniki.

Warto przypomnieć dla porównania straty lotnicze Aliantów /brytyjskie i amerykańskie/ i Niemiec od początku wojny do dnia 11 marca b.r.

Tak więc Alianci stracili do dnia 11 marca 1944 r.:

Na Zachodzie: 10,382 samolotów wszelkich typów, na Środkowym Wschodzie: około 2,386, w północnej Afryce i Włoszech: 1,786.

Niemcy stracili do dnia 11 marca 1944 r.: Na Zachodzie: 8,053, na Środkowym Wschodzie ponad 5,843, w półn. Afryce i we Włoszech: 4,704.

W ogólnej sumie Alianci stracili około 14,554 samolotów, Niemcy zaś około 18,600.

Należy zaznaczyć, że w stratach tych nie są objęte straty niemieckiej *Luftwaffe* w Polsce, Belgii, Holandii, Norwegii i Francji, o ile zestrzelenia nie nastąpiły przez brytyjskich pilotów.

Doliczając na te kampanie około 5000 maszyn, nie przesadzimy, jeżeli ogólną liczbę strat niemieckich przyjmiemy na 23,000 maszyn, nie wliczając w to, wobec absolutnego braku danych, strat *Luftwaffe* na froncie rosyjskim.

Bardzo interesujące cyfry podał Mr. C. G. Power, kanadyjski minister lotnictwa w sprawozdaniu złożonym przed parlamentem kanadyjskim. Oświadczył on, że w tej chwili w Kanadzie lata 12.000 samolotów treningowych i że ich liczba w najbliższym czasie będzie powiększona o dalsze dwa tysiące. W tej chwili R.C.A.F. /*Royal Canadian Air Force*/ liczy łącznie z kobietami 206,702 ludzi.

Daje to obraz tego, co się w Kanadzie dzieje w wyniku programu wyszkoleniowego, uchwalonego jeszcze w 1940 roku. Biorąc pod uwagę możliwości amerykańskie i brytyjskie, przypuszczać należy, że ani RAF ani *USA Army Airforce* nie obawiają się braku załóg. Nie można jednak tego samego powiedzieć o *Luftwaffe*, która stanęła już tamtego roku wobec krytycznego braku załóg, szczególnie bombowych, wymagających dłuższego i dokładniejszego szkolenia.

Wydaje się, że Goering zdołał częściowo opanować kryzys dwiema drogami: przez przejście na większą produkcję myśliwców i skrócenie w ten sposób czasu szkolenia pilotów, wreszcie przez totalną mobilizację, która podobno dała w rezultacie dla *Luftwaffe* około 500 tysięcy ludzi, zarówno w personelu latającym, jak i ziemnym.

Zachodzi pytanie czy, skoro *Luftwaffe* osłabi się dostatecznie, szczególnie zaś gdy jednostki myśliwskie znikną w masach z niemieckiego nieba — czy wówczas bombowce brytyjskie przejdą z bombardowania nocnego na dzienne? Oto sprawa, która w tej chwili pasjonuje brytyjską prasę fachową. Przeważa zdanie, że wprawdzie, skoro nie będzie niebezpieczeństwa zbyt wielkich strat, jednostki bombardujące brytyjskie mogłyby przejść do bombardowania dziennego, lecz nie powinny przestawiać się na bombardowanie dzienne.

Jest po temu wiele przyczyn: przede wszystkim ta, że przejście na bombardowanie t.zw. precyzyjne, a więc przy widoczności celu, jest możliwe jedynie przy doskonałej pogodzie. Dni pogodnych Europa, szczególnie północno-zachodnie jej części, mają bardzo mało. Pozostaje praca w chmurach, czyli biorąc rzecz praktycznie, bombardowanie dzienne będzie odbywało się na zasadzie takiej samej jak bombardowanie nocne, z tym jednak, że ryzyko przecież będzie większe. Jakkolwiek myśliwstwo niemieckie będzie nadszarpnięte, jednak nigdy do tego stopnia, by nie zagrażać bombowcom brytyjskim słabiej uzbrojonym od amerykańskich. Poza tym artyleria w dzień strzela celniej niż w nocy. Wreszcie: system ramowy bombardowań, wprowadzony przez lotnictwo brytyjskie, mimo większej rozrzutności w użyciu sprzętu, przecież daje dobre rezultaty.

M. J. GORDON.

Komandosi polscy we Włoszech

(Korespondencje własne "Polski Walczącej")

Ostatni patrol rtm. W.

— Zostaw już tego Niemca; idziemy dalej — powiedział rotmistrz do Jurka, który z zaciekawieniem oglądał "Żelazny Krzyż" błyszczący na piersi zabitego.

Było już prawie zupełnie widno — poza wzgórzami górującymi nad doliną Garigliano niebo czerwieniło się zorzą wschodzącego słońca. Nad rzeką snuły się dymy pocisków artyleryjskich, a gdzieś na zboczach naszego wzgórza dogasały pożary.

Patrol komandosów ostrożnie przeniknął pomiędzy szczytowymi skałami i niewidocznie posuwał się wśród krzewów małej dolinki. Coś zabłysło w trawie — to porzucony r.k.m., który jeszcze przed chwilą wypluwał na nas serie pocisków. Nieco dalej hełm niemiecki i zakrwawiona chusta znaczyły drogę ucieczki. Ledwo widoczna kozia perć wiodła w górę między głazami. Było cicho.

Tiuuu — tiuuu — zaświstało coś nagle i kamienie prysnęły drobnymi odłamkami. Wszyscy przycupnęli wśród głazów dających dobrą ochronę. Nieprzyjacielski strzelec wyborowy, ukryty gdzieś na zboczu przeciwległego wzgórza znalazł sobie dobry cel w naszym patrolu. Wacek chciał strzelać w stronę skąd padły strzały, ale rotmistrz go powstrzymał.

—I tak mu nic nie zrobisz na tę odległość — powiedział, — Przesuniemy się niespostrzeżenie dalej.

Czołgając się, patrol doszedł do grzbietu i znikł we wgłębieniu. Na małej łączce, wśród kolczastych badyli pasła się spokojnie krowa, dziwnie zbłąkana w tych kamienistych górach, w środku toczącej się bitwy.

—Będziemy mieli śniadanie . . . trzeba wydoić tę krowę — zawołał rotmistrz, ale obserwator meldujący Niemców na sąsiednim wzgórzu rozwiał miłe perspektywy. Trzeba było iść dalej. Po dłuższym marszu wzdłuż grzbietu napotkano niewielki domek zamieszkały przez brudną rodzinę włoską.

—*Tedesco, Tedesco* — brzmiało co drugie słowo szybkiej paplaniny Włocha. Przerażeni gospodarze ostrzegli, że opodal, w leżącym poniżej drugim domku znajduje się duża ilość Niemców.

Z lewej dołącza por.Z. z kilku ludźmi, którzy patrolowali sąsiednie wzgórza. Wszyscy grupują się pod domkiem, gdy nagle Jurek cichym psyknięciem zwraca uwagę. Ścieżką w dole idzie drużyna Niemców — stalowe, hełmy błyszczą zza kamiennego murka. Szybko zajęto stanowiska. Seria r.k.m-u zadzwoniła po murze. Dwa czy trzy rzuty granatem, jakieś pojedyńcze strzały — rotmistrz z *brenem* rzuca się długim skokiem do przodu. Jeden z Niemców legł z rozprutą piersią — inni odstrzeliwali się zza kamieni.

Konrad poderwał się z *tommy-gunem* — zaledwie 20 metrów dzieliło go od nieprzyjaciela. *Tommy-gun* zaciął się. Potrząsając groźnie bezużyteczną bronią i wydając nieartykułowane okrzyki runął na Niemców. Wszyscy zamarli w oczekiwaniu . . . zza kamieni podniosło się siedem postaci w mundurach *feldgrau* z podniesionymi w górę rękami.

Jeńców odesłano szybko do tyłu. Odgłosy walki zaalarmowały nieprzyjaciela. Z dala poszła seria c.k.m. — na przedpolu ukazał się nacierający oddział. Murek i głazy wokół domku stały się szańcem obronnym.

Walka była zażarta. Rotmistrz szalał ze swym *brenem* — był wszędzie, wydawał rozkazy, dwoił i troił się w oczach. Koleś ujrzawszy Niemca przed sobą zapomniał o ostrożności, podniósł się i strzelił — Niemiec zwalił się z nóg, ale w tej chwili upadł i Koleś trafiony celnym strzałem w pierś. Wszelka pomoc już była spóźniona.

Dalej na stoku góry leżał Władek. Nie mógł ruszyć się i tylko dawał znaki ręką — został ranny w nogi. Zenon czołgając się podszedł bliżej. Był już niedaleko, gdy nagle kilka kroków od siebie ujrzał Niemca celującego do rannego kolegi. Za późno było na złożenie się i strzał — można było tylko szybko rzucić się na nieprzypaciela. Niemiec spostrzegł ruch i drgnął — strzał padł niecelny.

Momentalnie rzucony granat gwizdnął koło uszu Zenona, ale w tej chwili nastąpiło zwarcie dwóch ciał — sztylet komandosowski błysnął w ręku. Granat wybuchł z hukiem raniąc obu, ale sztylet już tkwił w karku Niemca. Ciało bezwładnie osunęło się na kamienie.

Po chwili Zenon, sam brocząc krwią, wyciągał rannego Władka do tyłu.

Wacek miał ubezpieczać z prawej, ale widząc co się dzieje w przodzie nie wytrzymał i skoczył, przesadzając śmiało dwa kamienne murki. Nieprzyjaciel nie spodziewał się tak nagłego ataku z tej strony, to też Wacek miał łatwy cel rozkładając kilku Niemców, zanim sam nie został ranny odłamkiem granatu.

Ktoś z naszych wycofywał się z twarzą zalaną krwią, inny z cicha jęczał leżąc za kamieniem. Daleko na przedpolu widać było Heńka, jak ciężko ranny wzywał pomocy.

— Zygmuś, zamelduj dowódcy, jaka jest sytuacja. . . Trzeba nas wzmocnić — były słowa rotmistrza, które słyszeli nieliczni pozostali z patrolu. Potem znów rozdygotał się jazgotem r.k.m., a Zygmunt biegł z meldunkiem, skacząc od zasłony do zasłony.

Strzelanina ucichła. Rotmistrz oddał r.k.m. i wysunął się do rannego Heńka. Widać, było jak na dłoni, że rozcinał mu mundur i wyjmował bandaż opatrunku osobistego. Pochylony nad ciałem opatrywał ranę. Wtem padł strzał — cichy . . . pojedyńczy. . . — tak niewinny, zdało się, po całym huraganie ognia, jaki był tu przed chwilą. Rotmistrz Wołoszowski zwinął się w nagłym skurczu i upadł obok rannego.

—Rotmistrz . . . zabity . . . — doleciały z wiatrem słabe, urywane słowa.

Heniek z trudem próbował się podnieść, lecz w tej chwili padł trafiony w głowę celnym strzałem *snipera*.

Drugi pluton nadchodził z pomocą. Dojście było trudne, gdyż dobrze ukryci strzelcy wyborowi mieli pod obstrzałem całe zbocze góry. Pod domkiem był już nieprzyjaciel. Fredek dostał właśnie celny strzał w tył głowy. Mózg bryznął na kamienie.

Adam był wściekły — na czele swej drużyny nacierał na nieprzyjaciela z pasją i zaciętością. Jego *tommy-gun* pluł serię za serią w Niemców nie spodziewających się takiej furii natarcia.

—To za Franka . . . to za Fredka . . . to za Heńka . . . a to za to, żeście mnie do nieprzytomności zbili w Zakopanem — wykrzykiwał i za każdym razem jakieś ciało z głuchym uderzeniem zwalało się na ziemię.

Janek — amunicyjny r.k.m-u — zmieniał właśnie stanowisko, gdy wtem, trzy kroki przed sobą, ujrzał za kamieniem wycelowaną w siebie lufę. Nie było czasu na wyjęcie pistoletu — z gołymi rękami rzucił się na osłupiałego Niemca, dusząc go za gardło. W czasie szamotania się spostrzegł podczołgującego sie z pomocą innego szwaba. Nie namyślając się wiele wyjął prawą ręką rewolwer, lewą wciąż dusząc przeciwnika i poprzez jego ramię palnął do czołgającego się, poczem kolbą zdzielił bliższego przez łeb.

Za murkiem jakiś Niemiec biegł na czworakach do tyłu. Stefan popędzał go celnymi seriami z pistoletu maszynowego. Wreszcie mając dość już tej zabawy, rozłożył go trupem na samym zakręcie ścieżki.

Nieprzyjaciel wycofywał się w popłochu, zabierając lżej rannych ze sobą. Wokół domku leżało trzydziestu zabitych Niemców — liczni ranni jęczeli z daleka.

—Pomściliśmy rotmistrza — ktoś zauważył — ale to go nam nie wróci.

Z doliny wychodziło nowe natarcie niemieckie.

MACIEJ DRZEWICA

GWIAZDY KOMANDOSA

Nie znam cię, polski komandosie,
ani z imienia, ni z nazwiska
i nie widziałem wzroku twego,
lecz wiem, że ogień z niego błyska.

Próżnobym znaleźć ciebie pragnął
w żołnierskim szyku, czy gromadzie,
daremnie szukał twej postaci
na tej, czy owej defiladzie.

Gdym, tak jak inni, stał w szeregu,
gdym, tak jak inni, prężył ciało —
ty na tysiącznej swej zaprawie
pewnie wspinałeś się po skałach . . .

Pewnie się gdzieś moczyłeś w morzu,
a wiatr ci grał fanfarą tonów.
Wiatr głuszył twardy krok rytmicznie
defilujących batalionów.

Ach, bezszelestnie wolisz chodzić,
na palcach czaić się do skoków.
Nie wołasz: "czołem", lecz z dowódcą
szeptem wymieniasz: "Gotów?" — "Gotów!"

Nie znam cię, polski komandosie
i nigdy cię nie ujrzę pewnie.
Lecz wiem, żeś nieraz mocno zaklął,
że nieraz brwi marszczyłeś gniewnie.

Nieraz mówiłeś: "Ot, co mi tam
protekcja taka lub owaka,
tłusta posadka, lepszy przydział!
Nie dla mnie jest fatyga taka!

Niech inny pleców sobie szuka
w Londynie, w sztabach, rzecz to znana.
Ja zapewnioną mam na zawsze
protekcję mego tommy-guna . . ."

Ach, mój nieznany komandosie,
już bliski prawie byłeś śmierci!
Tyś myślał, że cię pocisk szarpnął,
a on na wylot cię przewiercił.

Bezchmurne było włoskie niebo,
gdyś padł. Czy dzisiaj w to uwierzysz?
Wielki cię wtenczas żal ogarnął,
że nie na polskiej ziemi leżysz.

Gwiazdy nad tobą się rozsnuły
gdy je niemiecki siał cekaem.
Ktoś w ogniu cię unosi z ziemi.
Wiem. Nie poznałeś. Ja poznałem.

Ktoś cię przywraca do istnienia,
dźwiga na barkach pełen troski.
Od wroga dalej — o sto metrów.
O całe życie — bliżej Polski.

Już nie powtarzasz: "Co mi plecy!
Moja protekcja — mój tommy-gun!"
Bezpieczny leżysz, lecz nad tobą
nie jedna jeszcze gwiazda miga.

Nieznany, polski komandosie,
niech szybko goi się twa rana.
I nie wstydź się, żeś raz skorzystał
z pleców własnego kapitana.

OR-SI

Słabe odgłosy

Na pewno wielu nie wie, że oddziały polskich komandosów już od pół roku nie bawią w Anglii. A jednak tak jest. Rozpoczęliśmy akcję w pogodne noce wczesnej zimy, zwarliśmy się w walce w okresie, kiedy mgły gęste i ulewne deszcze zdawały się stwarzać warunki wprost niemożliwe do podjęcia przedsięwzięć, potem brnęliśmy przez zaspy śnieżne, wreszcie w niedostępnych górach zachodniego frontu wywiązaliśmy się z zadania, zyskując szeroki rozgłos w całych dywizjach, operujących na tym odcinku. Późniejsza historia powie wszystko.

Pół roku. . . Odcięci od " polskiego świata " karmiliśmy się słowem pisanym . . . przez siebie samych. Tutaj — nawet korespondencja przychodzi " bez terminów". Listy z października, z grudnia, rzadko przed dwóch tygodni. Pisma tak samo rzadko i późno. Najczęściej "Polska Walcząca".

Wykorzystuję "najświeższą prasę", co jest prawdziwą sztuką ze względu na znikanie wszystkiego co polskie wśród Polaków, w iście niepojęty sposób. Zastanowił mnie artykuł p.W.Budzyńskiego, zamieszczony w n-rze 1 "Polski Walczącej" z 8.1.b.r.:

"Koniec roku 1943 przyniósł sporo materiału obserwacyjnego dla badacza, względnie "przyczynkarza" psychologii emigracji. Powiedział nam wysłannik Kraju /w wigilijnym numerze "Polski Walczącej"/, powiedział otwarcie, że T a m nie dzielą narodu na ludzi Kraju i emigrantów, lecz uważają nas za przednią straż, za wybrańców, którym los dał szanse walki otwartej, dał możliwość pogłębiania wiedzy w warunkach prawie normalnych. Dumni powinniśmy być z tej roli, ale tym więcej potrzebne wydaje się stałe i konsekwentne odsłanianie słabostek i demaskowanie wad tej gromady wybranej, która nie może zawieść nadziei z nią związanych.

Nawoływaliśmy stale do tej pory do trzeźwości, do wyzbycia się nadmiaru uczuciowości, zwalczaliśmy pobudliwość tak bardzo charakterystyczną, a tak bardzo szkodliwą dla naszego temperamentu narodowego. Dzisiaj pojawiają się głosy wypowiadające się za "romantycznością", odrzucające na pewnym odcinku—i słusznie—zasady "trzeźwości" i zdrowego rozsądku. Co z tego wynika? Do jakich wniosków dojść nam trzeba? Chyba pogodzić i zrównoważyć te rzeczy, ustalając jakiś złoty środek."

Zbyteczne są — sądzę — komentarze. Trzeba się wczuć, by pojąć prawdę myśli, by przypomnieć sobie wszystko, na co patrzyliśmy dotychczas.

Losy miotały nami, ciskając na odległe krańce świata i po okresie nużących przeszkoleń pozwoliły niektórym wreszcie zetknąć się z wrogiem, stanąć twarzą w twarz. Na lądzie. Na obcej ziemi, która stała się terenem rozgrywek. Moment, o jakim każdy Polak marzył, o jakim z biegiem czasu coraz ciszej wspominał — nadszedł. Dziś pamięta dobrze. Wie, dlaczego tu jest. Komentarze są zbyteczne.

A teraz inny cytat, który nas zastanowił — z artykułu p.Z.Nowakowskiego, drukowanego w "Wiadomościach Polskich" nr. 50/196/z 12.XII.ub.r.:

"Właściwie zdążyliśmy już przywyknąć do tego, że niektóre organy prasy brytyjskiej traktują sprawę polską w sposób krzywdzący, niechętny albo nawet i złośliwy. Nie mniej, przeczytawszy "*News Chronicle*" z dn. 30 listopada, musiałem założyć drugą parę okularów, przy pomocy której stwierdziłem, że nie ulegam złudzeniu: korespondent wojenny tegoż dziennika, p. Richard McMillan, donosi, że na froncie włoskim wzięto do niewoli pewną ilość jeńców, pośród których jest spory odsetek Polaków i Lotaryńczyków, przy czym podkreśla, że nie wiadomo, czy ci Lotaryńczycy i Polacy zostali przemocą wcieleni do "Wehrmachtu" czy też są to zaciekli zwolennicy Hitlera.

Niech Lotaryńczycy bronią się sami przed tym zarzutem, niech się odeń odżegnają znakiem krzyża, mianowicie znakiem "*Croix de Lorraine*", ale to już wyłącznie ich sprawa, naszą zaś sprawą jest zastanowić się nad poziomem korespondenta "*News Chronicle*", który wiedząc o wcieleniu przemocą tysięcy, tysięcy Polaków do "Wehrmachtu", wbrew oczywistym postanowieniom konwencji haskiej i prawa międzynarodowego, dopuszcza możliwość, że wśród nich znajdują się zaciekli zwolennicy Hitlera. Niemcy uprawiają ten proceder niemal od początku wojny, gwałtem wciskają broń Polakom z zachodniej Polski. Co przeważa u korespondenta lewicowego dziennika: ignorancja czy złośliwość, czy też oba te czynniki występują u niego na jednakowym poziomie i w idealnej harmonii?"

Polacy, w mundurze *feld-grau*. Napotykając na opór, pytamy skrycie samych siebie, czy tam nie są ONI . . . Boimy się o tym mówić . . . Konieczność walki stwarza nam warunki, w jakich spotykali się nasi dziadowie, z czym stykał się mój ojciec. Ale — czy wniknął kto, kim oni są? Co ich skłoniło, albo dlaczego muszą pozostawać w tym, co jest? Na pewno nie.

Tutaj wojna nie tak wygląda, jak wyglądała w 39 r. w Polsce, albo choćby i we Francji. Tutaj walki trwają intensywnie, posiew śmierci zbiera żniwo, jednak we wszystkim kryje się myśl. Niemcy nie przebierają w środkach, lecz nie mają już swej dawnej buty, nie są panami sytuacji, nie kroczą w glorii zwycięstw. Często spotykaliśmy 17-letnich szczeniaków, którzy wprost płakali na widok luf, skierowanych w ich stronę. Człowieka ogarniała wściekłość i litość zarazem, bo w ich wzroku widać było lęk i charakterystyczną bojaźń nie mężczyzn, ale dzieci. Ale bolało to najbardziej, jeśli któryś z nich odezwał się po polsku.

Więc dzieci. Bez dokładnego wyszkolenia, bez hartu ducha, bez woli, bez tych właśnie cech, charakteryzujących dorosłego mężczyznę. Dziecko, twarde w uporze, w polskim uporze, i wytrzymałe. Dziecko, któremu Hitler nie dał nic, prócz łez i krzywdy, jaką szczególnie teraz, przez oderwanie od rodziny, wyrządził. Żądają od niego ofiary, którą ma być ono samo. Od człowieka, który jest niby dorosłym mężczyzną, a jednak jest i dzieckiem. Który może grać w piłkę nożną, może zacząć pracować, ale w 17-ym roku życia na pewno nie skończył gimnazjum, nie ma ustabilizowanych poglądów politycznych. To 17-letnie dziecko nie jest tedy fanatycznym wyznawcą ideologii, jaką stworzył Hitler. O tym nie wolno nam nawet wspominać, by nie zadawać ciosów tym, którzy swej polskości nie zaparli się, choć w mundurze *feld-grau* chodzą.

Dzieci te spotykamy stale. Czasem przewinie się dwudziestoletni. Z Wadowic, albo z Bydgoszczy. Często nie mówi zupełnie po niemiecku. Zadowolony jest z tego, że dostał się do niewoli. Ale z nami unika rozmów. Jest onieśmielony tym, że wiemy, kto on i skąd. Unika nas, by nie słyszeć mowy, by nie słyszeć prawdy. . . TAM mówili mu, że nie istniejemy, że nas nie ma, że nie będzie nas nigdy . . . Lecz czytamy ich myśli, jakby głośno je wypowiadali, kiedy mijają nas, milcząco spozierając na placówki, uzbrojone w karabiny niemieckie. W niemieckie karabiny, które skierowujemy na Niemców.

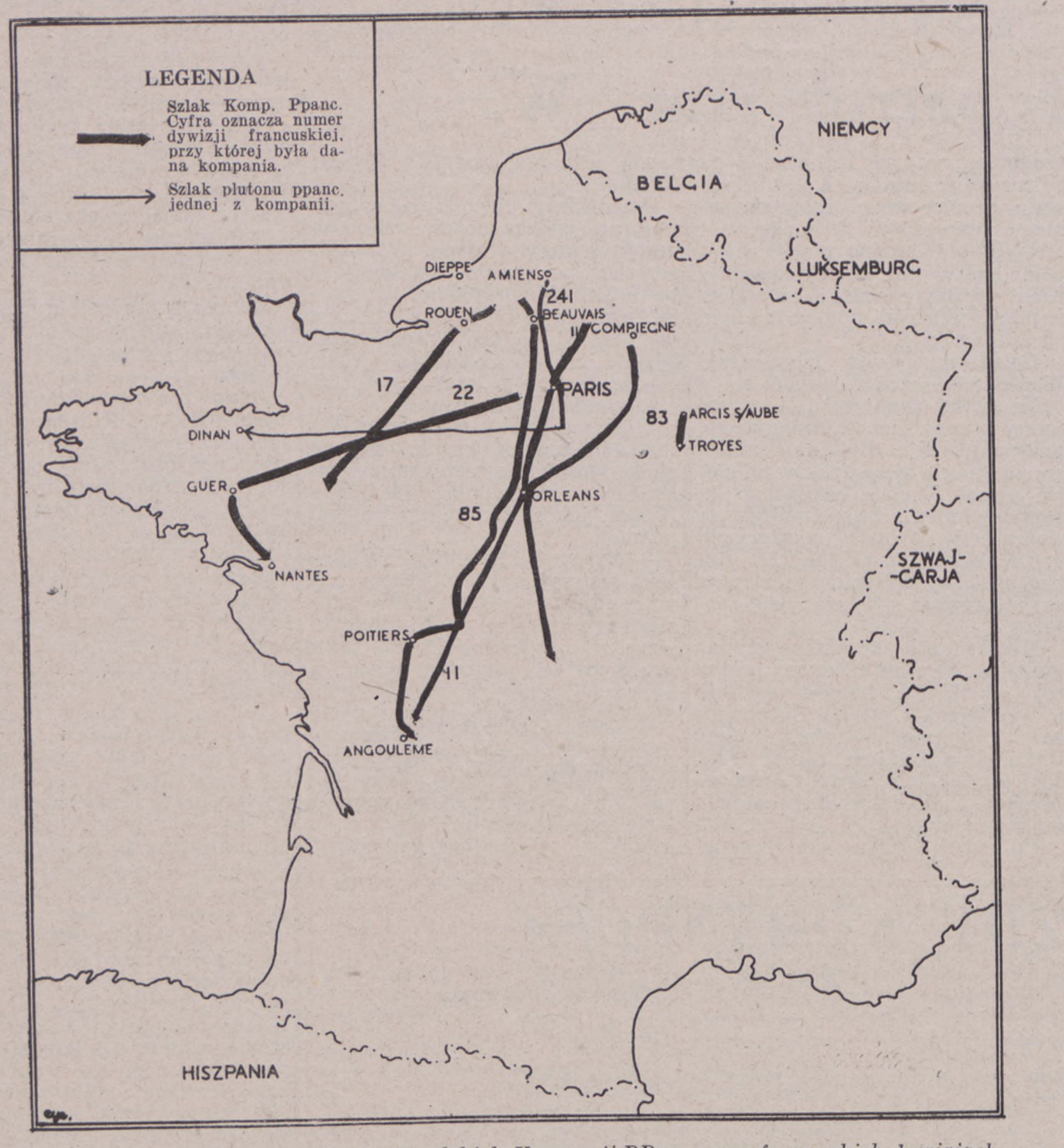
Chcę tu nawiązać do obu cytat artykułów. Mówimy sobie o tym, co zrobiliśmy i co powinniśmy zrobić. . . Nie mówmy raczej o sobie. I nie mówmy sobie o kimś, bo w tej chwili czas nie wymaga tego. Mówmy innym o nich, albo o nas. I mówmy ich stylem. Mówmy im z punktu widzenia ludzi, żyjących w państwie o demokratycznych zasadach, w dodatku we własnym państwie. Biednego kuzyna, dlatego, że jest biedny, nie wolno karmić gorzkim słowem. Nam tutaj też się coś więcej należy, niż gorycz.

P. Richard McMillan powinien odwiedzić kilkunasto-milowy odcinek, na którym przez ciąg miesięcy tkwili jego rodacy, a gdzie obecnie Polacy stoją i powinien o nich też powiedzieć. O tym wspomnieć. Powinien powiedzieć prawdę taką, by ktoś o nim napisał: "komentarze są zbyteczne."

Italia, w marcu 1944 *r.*—

JERZYCZ

POLSKIE KOMPANIE PRZECIWPANCERNE W KAMPANII FRANCUSKIEJ 1940 r.



Szkic szlaków bojowych niektórych polskich Kompanii PPanc. przy francuskich dywizjach w czasie kampanii 1940 r. we Francji

W dniu 3-go wrzesnia ub.r. radio londyńskie przy okazji wyliczania jednostek polskich, które brały udział w kampanii 1940 r. we Francji wspomniało o 11 polskich kompaniach ppanc., które walczyły w ramach jednostek francuskich. Jest to pierwsza wzmianka o tych kompaniach, dotychczas mało kto wiedział o istnieniu takich jednostek polskich.

Warto się zapoznać z tą kwestią bliżej, gdyż naszym świętym obowiązkiem jest pamiętać o wszystkich oddziałach polskich. Pomijając już inne względy, każda jednostka, która przelewała krew za wspólną sprawę, musi mieć miejsce w historii. Pomijanie ich istnienia było by pomniejszaniem polskiego wysiłku zbrojnego i wkładu naszego narodu do obecnej wojny.

A więc do znanych już nam bardzo dobrze z wielu publikacji polskich jednostek lądowych, które walczyły we Francji w nieszczęsnej kampanii 1940 r.: 1. Dywizji Grenadierów, 2. Dywizji Strzelców, Brygady Podhalańskiej, 10. Brygady Kawalerii Zmotoryzowanej, dochodzi jeszcze świeżo odkryta grupa kompanii ppanc.

ZNACZENIE, ODRĘBNOŚĆ I DOROBEK

Nie jest to grupa mała. O 11 kompaniach ppanc. udało się zebrać niezbite dane o ich istnieniu i działaniu. Francuski *"Organ de Liquidation de l'Armé Polonaise"* w Mirande dep. Gers /nie należy mieszać z hiszpańską Miranda del Ebro/ wiedział o 14 takich kompaniach. Dokładnej liczby nie udały się na razie ustalić, w każdym razie należy przyjąć minimum jedenaście kompanii, a to stanowi mniej więcej siłę około brygady. W porównaniu z kilku zaledwie wielkimi jednostkami polskimi walczącymi współcześnie, jest to grupa znaczna. Można ją traktować na równi z wielkimi jednostkami.

Organizacja tych kompanii była dosyć luźna. Były one wyciągane z jednostek polskich, lub organizowane grupami i pojedyńczo wcielane do jednostek francuskich, jako organiczne kompanie dywizyjne ppanc. dywizyj francuskich. Wszystkie te kompanie mają jednak wspólne cechy, które przemawiają za tym, aby w ramach Armii Polskiej we Francji traktowane były jako osobna grupa wojska polskiego, mianowicie:

1/ wszystkie one wyszły definitywnie po za ramy organizacyjne wielkich jednostek polskich,

2/ walczyły w ramach organizacyjnych jednostek francuskich.

Tak więc ani organizacyjnie, ani historycznie nie mieszczą się one w ramach wielkich jednostek polskich i dlatego istotnie stanowią osobną grupę naszego wojska, które uczestniczyło w kampanii 1940 r.

Jeśli chodzi o ich bojową historię, to trzeba sobie zdać sprawę, że grupa tych kompanii nie będąc jednym zwartym oddziałem /jakim jest n.p. brygada/, była też inaczej użyta i to od razu sobie powiedzmy, użyta intensywniej. W normalnej wielkiej jednostce tylko część wojska walczy bezpośrednio, część zaś, czasem nawet znaczna, jest w odwodzie, czy też z innych powodów, bezpośredniego udziału w walce nie bierze. Część zresztą dość znaczną wielkiej jednostki stanowią służby, które z natury rzeczy bezpośrednio nie walczą. Poza tym dowódca wielkiej jednostki dba o to, aby ciężar walki, o ile to tylko możliwe, rozłożyć równomiernie na podległe mu oddziały.

Nic podobnego nie miało miejsca w wypadku kompanii ppanc. Kompanie te działając odrębnie i nie stanowiąc jednego zwartego oddziału nie posiadały osobnych służb, a więc wszystkie były *par excellence* bojowe. Jeśli zaś chodzi o ich użycie, to sytuacja wymagała użycia ich z reguły i przede wszystkim w pierwszej linii w najobszerniejszym tego słowa znaczeniu, a żaden z dowódców oddziałów francuskich, do których były one przydzielone /czy wcielone/ nie miał powodu do ich oszczędzania. W samym założeniu miały być one wykorzystane do maksimum i wykorzystane zostały gruntownie.

W rezultacie wszystkie jednostki ppanc. aż do ostatniego działonu były stale w pierwszej linii, a w połowie wypadków nawet przed pierwszymi liniami i to najczęściej bez osłony piechoty. Tak było, jeśli się zdarzyło szczęście walczyć w obronie.

Pamiętamy jednak, że większość działań tej kampanii miała charakter odwrotowy. W odwrocie natomiast główne zadanie osłony przypadało działonom ppanc. i one to ponosiły największy ciężar pogotowia bojowego i walki. Nie rzadko pojedyńcze armatki sterczały po kilka godzin już po odejściu piechoty na różnych rozwidleniach i innych cieśninach, aby jak najdłużej powstrzymać pościg nieprzyjaciela. I w tych wypadkach nie często miały szczęście być osłonięte choćby drobnym oddziałkiem strzeleckim. Przeważnie musiały być i były samowystarczalne.

Nie będę daleki od prawdy, jeśli stwierdzę że wszystkie działony wszystkich polskich kompanii ppanc. przez całą kampanię 1940 r. były stale na stanowiskach w najbliższej styczności z nieprzyjacielem. Żołnierz, a szczególniej żołnierz frontowy, dobrze rozumie treść powyższych wyrazów.

Znaczą one parę tygodni stałego napięcia nerwów niemal bez wypoczynku; parę tygodni chwilami tylko kradzionego snu, cudem gdzieś tylko zdobytego pożywienia; parę tygodni stałego uczucia, że pierwszy strzał /a i większość następnych/, czy też pierwsza bomba lotnicza, będą wymierzone właśnie i przede wszystkim w działon ppanc. Tak się już bowiem zdarza, że wszystkie bronie npla najchętniej biją w działony ppanc.

Bywały wypadki, że niektóre kompanie jeszcze przed zakończeniem organizacji miały do kilkudziesięciu zabitych i rannych oraz niemal wszystkie konie wybite. I to tylko podczas jednego nalotu /St. Cyr, dnia 5.VI.40./

O warunkach działania tych kompanii mówi na przykład fakt, że były kompanie, które w samym tylko odwrocie, przeciętnie od 9.VI.40 do 24.VI.40, t.zn. do zawieszenia broni, przebyły ponad 450 km, licząc w prostej linii, w walce prowadzonej, jak pamiętamy, w czasie upałów.

Nie trzeba przy tym zapominać, że tylko dwie kompanie wśród wymienionych były zmotoryzowane. Reszta miała pociąg konny, a ludzie odbywali drogę z większości wypadków pieszo.

Żołnierze polskich kompanii ppanc. w oddziałach francuskich mieli chyba jak nikt inny w tej kampanii najwięcej okazji do ostatecznego wyczerpania fizycznego i przywilej pierwszeństwa kładzenia się pokotem przy rozbitym sprzęcie. Jedynie strzępki tych kompanii pozostały przy dywizjach francuskich po zawieszeniu broni. Większość wyginęła lub poszła w niewolę wraz z oddziałami francuskimi, do których należała. Tylko resztkom jednej zmotoryzowanej kompanii /dca kpt. W./ udało się przybyć w czerwcu 1940 r. do W. Brytanii.

Trzy kompanie, które miały szczęście zakończyć działanie w późniejszej strefie Francji nieokupowanej, zostały odznaczone przez władze francuskie. Inne kompanie, które nie miały tego szczęścia, w nie mniejszym stopniu zasłużyły się Francji, a przez to i imieniu polskiemu. Stwierdza to fakt, wyrażony przez jednego z dowódców francuskich w dniu 27.VI.40 /a więc już w trzy dni po zawieszeniu broni/ w chwili poważnej, bo w momencie, kiedy wyczerpana, otoczona od kilku dni grupa wojsk francuskich miała wpaść do niewoli: *" Ce que vous avez fait pour la France, la France n'oubliera jamais."* — "... Francja wam tego nigdy nie zapomni ..."

To stwierdzenie i zobowiązanie można odnieść do wszystkich kompanii ppanc. Słowa to bezwzględnie szczere, gdyż powiedziane w chwili poważnej, a w takich zwykle odpadają konwenanse.

Polskie kompanie ppanc. przydzielone do dywizji francuskich w czasie kampanii 1940 r. niewątpliwie wniosły pewien dorobek moralny do ogólnego wkładu Polskich Sił Zbrojnych w toczącej się wojnie i postawienie tej odrębnej grupy wojska na równi ze znanymi wielkimi jednostkami jest sprawą słuszną.

GRUPA KOMPANII PPANC. Z 2 DYWIZJI STRZELCÓW

W chwili kiedy front aliantów raz po raz łamał się pod potężnymi ciosami pancernych wojsk niemieckich, w połowie maja 1940 r. wojskowe władze francuskie zadecydowały użyć polskich jednostek ppanc. dla wypełnienia luk w szeregach jednostek francuskich.

Dla załatania frontu zaczęto ściągać z głębokich odwodów oraz z obsadzonej granicy włoskiej dywizje, które stanowiły inny typ organizacyjny, aniżeli dywizje stojące nad granicami północnowschodnimi Francji i były słabiej wyposażone w jednostki przeciwpancerne. Dywizje te nie posiadały przeważnie dywizyjnych kompanii ppanc i wysyłając je przeciw dobrze wyposażnym w broń pancerną dywizjom niemieckim, należało na gwałt uzupełnić je kompaniami ppanc. Poza tym niektóre dywizje, które już walczyły z Niemcami potraciły swoje jednostki ppanc. i luki te należało również wypełnić. Francuzi nabrali już doświadczenia, że jednostki ppanc wykruszają się szybciej, aniżeli inne i kto wie, czy właśnie ten wzgląd nie zwrócił ich uwagi na Polaków. Dawali oni gwarancję stuprocentowej lojalności i woli walki aż do końca. W momentach kiedy się wszystko łamie i wali, nie łatwo jest znaleźć takiego sprzymierzeńca.

Właśnie pod ręką na szkoleniu w Granville we francuskiej szkole strzelań było pięć prawie gotowych polskich kompanii ppanc, cztery po 12 działonów, jedna cztero-działonowa. Jeszcze nie były kompletnie zorganizowane i miały jeszcze dużo do zrobienia w pracy szkoleniowej a poza tym były to jednostki ppanc. polskiej 2 Dywizji Strzelców, która właśnie odchodziła na front.

Nic to. Francuskie dywizie czekały na uzupełnienie tym rodzajem wojska, rodzajem wojska bardzo w tej chwili pożądanym i musiały go mieć natychmiast. Dywizje francuskie zostały uzupełnione w dniu 17 maja 1940 r. polskimi kompaniami ppanc. z polskiej 2 Dywizji Strzelców. Polska 2. Dywizja Strzelców odeszła na front bez sprzętu ppanc. Nakazała swojej kadrze pośpieszne zorganizowanie brakujących jej jednostek ppanc.

Ale i tym jednostkom nie udało się w komplecie dołączyć do swojej dywizji. Dywizyjną kompanię ppanc. /dca kpt. R./ władze francuskie wcieliły do zdekompletowanej francuskiej 22 Dyw. Piech. /W końcowej fazie działania kompanii tej udało się dołączyć do polskiej 3. Dyw. piech. w Guer. Dobrze się zasłużyła ta kompania 3-ciej Dywizji osłaniając jej odwrót. 3.D.P. nie była jeszcze kompletnie zorganizowana i nie posiadała sprzętu ppanc. a nieprzyjaciel deptał po piętach./

W ten sposób polska 2. Dyw. Strz. do końca działań pozbawiona była dywizyjnej kompanii ppanc.

Wspomniane kompanie w sumie sześciu, stanowią grupę kompanii ppanc. przydzielonych do jednostek francuskich, a pochodzątych z jednostek polskiej 2. Dyw. Strz.

GRUPA KOMPANII PPANC. Z 3 DYWIZJI PIECHOTY

Drugą grupę kompanii ppanc stanowią kompanie pochodzące z polskiej 3 Dyw. Piech. O tych udało się zebrać więcej szczegółów.

W dniu 23 maja 1940 r. jednostki 3 D.P. wydzieliły ludzi dla zorganizowania kompanii ppanc. i w godzinach popołudniowych tegoż dnia dowódca Ośr. Zap. w Coëtquidan, major W. osobiście zorganizował w ciągu paru godzin sześć kompanii i dopilnował wydania umundurowania oraz części ekwipunku w sposób nadzwyczaj sprawny, co tym bardziej odbijało, że dalsza organizacja, uzbrojenie i wydanie reszty ekwipunku, po przekazaniu kompanii władzom francuskim trwało od 24 maja do około 3 czerwca, a więc około 10 dni ... Wprawdzie w tym czasie mieści się trzydniowe wyszkolenie, ale i w czasie tego wyszkolenia bez przerwy trwało wydawanie sprzętu oraz dalsze uzupełnianie osobowe.

Wieczorem dnia 23 maja i w ciągu nocy oraz dnia 24 maja kompanie te już po przekazaniu władzom francuskim zjeżdżają się kolejno do szkoły strzelań w Granville. Tutaj przebywają do dnia 27 maja i w tym czasie odbywają wyszkolenie, a jednocześnie pobierają sprzęt /karabinki, rkm, sprzęt optyczny, saperski, łączności, stajenny oraz 10 rowerów na kompanię./

Dnia 27 maja odjazd do St. Cyr, gdzie mieści się znana szkoła oficerska. Tu odbywa się dalsza organizacja i pobieranie koni, oporządzenia oraz sprzętu /armatki, biedki amunicyjne, samochody, ciągniki, amunicja i t.d./

Dnia 31 maja pierwsza gotowa kompania wyrusza na połączenie się z wyznaczoną jej dywizją francuską. Inne dołączały do swoich dywizji w następnych dniach aż do 5 czerwca. Z sześciu kompanii, które wyszły z 3 Dyw. Piech. pięć zostaje przeznaczonych do dywizji francuskich, jedna zaś do polskiej 10 Brygady Kawalerii Zmotoryzowanej.

Daleki jestem od złośliwej krytyki, ale organizacja tych kilku kompanii przez władze francuskie nasuwa poważne wątpliwości.

Trudno się bowiem powstrzymać od zdziwienia, że dla pobrania sprzętu kompanie te musiały przejechać pół Francji /Coëtquidan, Granville, St. Cyr./ Że na pobranie sprzętu zużyto co najmniej 7 do 10 dni. A przecież front się walił i pośpiech w organizacji nowych jednostek był widoczny.

Ludzie tej serii kompanii ppanc. nigdy przed tym nie mieli do czynienia ze sprzętem ppanc. i należało maksimum czasu poświęcić na ich wyszkolenie. Tymczasem z całego czasu zużytego na organizację /7 do 10 dni/, tylko trzy dni poświęcono na wyszkolenie. Gwałtem ciśnie się pytanie, czemu na odwrót zamiast wozić kompanie po sprzęt, nie zwieziono sprzętu na jedno miejsce n.p. do Coëtquidan i nie przywiezono tam także instruktorów i na miejscu nie wyekwipowano i wyszkołono kompanii, unikając straty czasu na zbędne przejazdy. W tych warunkach zyskanie dwóch, trzech dni do wyszkolenia miało ogromne znaczenie.

Poważnym mankamentem był brak jakichkolwiek informacji od własnych władz w związku z odejściem tych kompanii do dyspozycji Armii Francuskiej. Wiemy z doświadczenia, że przy pożegnaniu ze swoimi bliskimi rzuca się masę rad, informacji i różnych innych szczegółów, na pozór drobnych, ale w warunkach odosobnienia mających nieraz podstawowe znaczenie. Tych drobiazgów odchodzącym do obcych kompaniom bardzo brakowało. Brakowało tym bardziej, że hiobowe wieści z frontu i nastrój w kraju sprzymierzonym nie podnosiły na duchu.

WYSZKOLENIE I WYPOSAŻENIE

Wyszkolenie w grupie kompanii pochodzących z 2 D. Strzelców było dużo lepsze, aniżeli w grupie kompanii pochodzących z 3.D.P. Pierwsze były szkolone już od dłuższego czasu, były zżyte, ludzie się na wzajem znali, były niemal gotowe do użycia. Natomiast miały braki organizacyjne, mianowicie posiadały luki i to poważne w plutonach dowodzenia.

Kompanie z 3.D.P. były zorganizowane doraźnie, ludzie na wzajem się nie znali, stąd trudny był dobór ludzi na właściwe funkcje i płynęły tysiączne niedomagania, które z trudnością tylko należało usuwać już w czasie akcji.

Co do wyszkolenia tej grupy kompanii to na wszystkie pięć kompanii tylko paru /2 — 3/ oficerów przeszło wyszkolenie ppanc. Reszta dopiero w ciągu trzy dniowego wyszkolenia w Granville zapoznawała się ze sprzętem. Jeśli chodzi o szeregowych tej grupy, to w większości wypadków broni jeszcze nie mieli. Sprzęt każdego rodzaju we wszystkich kompaniach był jednakowy.

Dziewięć kompanii miało pociąg konny, a tylko dwie były zmotoryzowane. W warunkach walk odwrotowych źle doglądane konie ginęły łatwo, przyczyniając się tym do utraty sprzętu. Ciężkie francuskie konie w większości wypadków nie wytrzymywały tempa odwrotu i niemal z reguły pozostawy w tyle.

Działony przydzielone do poszczególnych kolumn w czasie odwrotu stawały się faktycznie rodzajem szpicy tylnej, gdyż piechota szybko odbijała a odległość wzrastała często do kilku kilometrów. Pościg prowadzony przez Niemców musiał się natykać przede wszystkim na odosobnione działony, które w tych wypadkach spełniały gros zadania ubezpieczenia lub osłony. Ciężkie to były zadania, wykonywane w odosobnieniu, bez pomocy piechoty, często zakończone tragicznie. Nie zawsze też dowódcy poszczególnych kolumn francuskich w odwrocie wiedzieli, ile mają do zawdzięczenia tym odbitym w marszu i przepadłym bez śladu działonom.

Kompania dywizyjna ppanc. o pociągu konnym traci kilkakrotnie na wartości w porównaniu z taką samą kompanią zmotoryzowaną. W wielu wypadkach a szczególniej w warunkach walki ruchomej, co właśnie przede wszystkim miało miejsce w kampanii 1940 r. jednostki kompanii ppanc. stanowią jakby ruchomy odwód dowódcy dywizji do walki z nagle ukazującymi się czołgami nieprzyjacielskimi na jakimś odcinku czy kierunku. Zachodzi wówczas potrzeba szybkiego przerzucenia pewnej ilości działonów na dany kierunek.

Proszę sobie wyobrazić w takiej sytuacji ciężkie, poczciwe francuskie konie, jakie miały kompanie ppanc. w czasie tej kampanii. Nic ich nie mogło wytrącić z powolnego ciężkiego stępa, a sytuacja oczywiście mało je wzruszała. To jest tylko jeden z przykładów małej przydatności konia do zadań jednostek ppanc. Przykładów zaś można by przytoczyć całą masę, że wspomnę tylko jeszcze o reakcji konia na ogień naziemny, czy bombardowanie lotnicze.

Przypuszczam, że władze francuskie doskonale się orientowały w tym zagadnieniu a przydzielenie kompaniom ppanc. pociągu konnego było spowodowane tylko brakiem odpowiedniej ilości ciągników. Poza tym i sprzęt nie nadawał się do trakcji motorowej. Kompanie ppanc. wyposażone były w armatki kaliber 25 mm. skuteczne w walce z lekkimi i średnimi czołgami. Istniały dwa typy tych armatek: nowszy typ /z 1937 r./ — przydatniejszy bojowo, ale za lekki dla pociągu motorowego, wywrotny /w te właśnie armatki była uzbrojona większość naszych komp./ i starszy typ /wzór 1934 r./ nadający się lepiej do pociągu motorowego /cięższy i mniej wywrotny/, ale za to o wiele gorszy w prowadzeniu ognia /przy odpalaniu trzeba prawą ręką puścić przyrząd kierujący/.

UŻYCIE I WARUNKI WSPÓŁPRACY

Większość polskich kompanii ppanc. była użyta w jednostkach francuskich walczących na zachód od linii Maginot, a więc w części frontu bardziej ruchomej, gdzie i walki miały charakter ruchowy. Ta okoliczność przy braku znajomości języka, przy braku znajomości terenu, w którym się poruszano, a co gorsza przy braku znajomości administracji francuskich władz wojskowych, jej zwyczajów, i przepisów oraz brak dostatecznej znajomości i doświadczenia warunków współpracy w boju z oddziałami francuskimi — stwarzała tysiączne nieporozumienia, a często niweczyła wszelkie poczynania.

Już to nie darmo wymyślono przysłowie, że aby być przyjaciółmi trzeba przed tym zjeść beczkę soli. Na zjedzenie wspólne tej symbolicznej beczki soli nie było czasu. Nie mogliśmy się więc z braku czasu dostatecznie poznać na wzajem i z tego powodu wynikały poważne trudności.

Psychoza dywersji powodowała przytrzymywanie, czy aresztowania każdego pojedyńczo ukazującego się człowieka, który nie potrafił się wyjęzyczyć w zrozumiałej dla Francuzów mowie. Jeśli się jeszcze przy tym zdradził, że umie po niemiecku /a zawsze w tych okolicznościach o to pytano/, był to niezbity dowód, że niewyraźnie bąkające indywiduum jest szpiegiem i dywersantem niemieckim, w jednej osobioe. Biada takiemu, jeśli trafił na wielkiego patriotę lub bojownika krewkiego a niepowściągliwego. W tych wypadkach nie trudno było zginąć z ręki alianta.

Psychoza opanowała nie tylko najniższe szczeble, ale nawet i poszczególni dowódcy w stopniach sztabowych zdradzali przesadną podejrzliwość. W tych warunkach gońcy polskich jednostek niemal z reguły przepadali. Rozkazy i meldunki nie dochodziły, a że z zasady kompanie ppanc. nie działały jako zwarta jednostka ale pojedyńcze plutony i działony porozrzucane były po wszystkich członach dywizji, przeto dowodzenie wymagało niezwykłych wybiegów.

Przytrzymywano w ten sam sposób i dowódców plutonów i kompanii, co często wręcz uniemożliwiało kontakt z własnymi jednostkami. Znany jest n.p. wypadek, że dowódca baonu, do którego przydzielony był polski pluton ppanc. aresztował pod zarzutem szpiegostwa dowódcę tego plutonu za to, że chciał rozmawiać z jakimiś dwiema przytrzymanymi przez żołnierzy podejrzanymi kobietami i że przy tym posiadał aparat fotograficzny. Obciążającą okolicznością miało być to, że rzekomo umiał mówić po niemiecku.

Warunki współdziałania nie były łatwe. W obawie przed zagrożeniem nieprzyjacielską bronią pancerną dysponowano pojedyńczymi działonami i to w ten sposób, że jednostka ppanc. wysłana do jakiegoś pułku rozpływała się działonami po różnych pododdziałach a nierzadko pojedyńcze działony z danego pułku przerzucano do innego bez wiedzy dowódcy plutonu i kompanii.

Odbywało się to w ten mniej więcej sposób, że do działonu stojącego na stanowisku przychodził jakiś francuski oficer czy podoficer i rozkazywał iść za sobą. Działonowy, najczęściej nie znający języka francuskiego, musiał mu wierzyć na słowo, czy też w myśl zasady, że rozkaz należy wykonać, szedł na nowe stanowisko, często łamiąc sobie głowę, czy rzeczywiście rozkazujący jest uprawniony do wydawania mu rozkazów.

Jednak w warunkach odwrotu, kiedy nie należało do wyjątku, że wycofujący się oddział zapominał o przydzielonym mu działonie, sterczącym w skupieniu ducha na osamotnionej pozycji jeszcze przez kilka godzin po wycofaniu się własnej piechoty i w nieświadomości położenia zmienionego grubo na gorsze, taki czy inny zwiastun zmiany stanowiska był raczej pożądanym przejawem zainteresowania i nie należy się dziwić, że działonowy na ogół chętnie go słuchał.

Odszukanie własnych jednostek ppanc. nie było rzeczą łatwą. W wielu wypadkach dowódcy baonów, a nawet kompanii strzeleckich nie umieli /bo nie przypuszczam, żeby nie chcieli/ powiedzieć, czy i gdzie na ich odcinku znajdują się polskie działony ppanc.

Wielkie niezadowolenie wśród polskich dowódców poszczególnych jednostek wywoływał fakt, że rozkazy zajęcia stanowisk ograniczały się tylko do stwierdzenia: "masz tu stać i uważać na ogół w tym kierunku." Normalnie nie podawano nic o sytuacji czy to własnej, czy o znanych wiadomościach o nieprzyjacielu. Nic nie podawano o sąsiadach, nic o własnych zamiarach. Polskie jednostki ppanc. nigdy nie wiedziały, czy to jest obrona, czy tylko postój ubezpieczony, czy idzie się zajmować podstawę wyjściową do natarcia. Jakaś informacja w tym zakresie należała raczej do wyjątku. Interwencje nic nie pomagały. Nasi przyzwyczajeni do kompletniejszych rozkazów, nie mogli się pogodzić z tym nieporządkiem i natura polska buntowała się przeciw takiemu stanowi rzeczy.

Miało to też i swoje ujemne skutki. Działony nieuprzedzone, że na przedpolu są własne czołgi, nieraz przetrzepały dotkliwie powracające z akcji czołgi francuskie a trupy francuskich czołgistów i zniszczony własny sprzęt były widomym rezultatem formalnych niedociągnięć. Odwrotnie zdarzało się, że niemieckie czołgi poczytywano za własne, płacąc za tę omyłkę najwyższą cenę, cenę przelanej krwi polskiej.

Jednym z charakterystyczniejszych objawów kampanii 1940 r. był brak wyżywienia. Dalekie odwroty, jak również szybkie ich tempo, dezorganizowały zaopatrzenie. Jak się wydaje do takiego rodzaju działań dowództwa francuskie nie były przygotowane.

Większość, jeśli nie wszystkie jednostki polskie ppanc. w ostatnim okresie walk a więc w okresie przeciętnie około dwóch tygodni albo zupełnie nie była zaopatrzona w żywność lub też otrzymywała ją w minimalnych ilościach. Po paru dniach postu żołnierz nauczył się być samowystarczalny. Cierpiała jednak na tym dyscyplina, a czasem i etyka.

KRONIKA POSZCZEGÓLNYCH KOMPANII PPANC.

A. Grupa kompanii ppanc., które wyszły z jednostek polskiej 2 Dyw. Strzelców.

a/ W dniu 17 maja 1940 r. wcielono do dywizji francuskich pięć kompanii ppanc.:

—Kompania zmotoryzowana ppanc, dca kpt. W., pierwotnie przeznaczona jako dywizjna kompania ppanc. 2 Dyw. Strzelców. W walkach nad Somną i innych ponosi duże straty. Część kompanii w czerwcu 1940 r. przybywa do W. Brytanii.

—4-działonowa kompania ppanc. pierwotnie przeznaczona dla Oddz. Rozp. 2 Dyw. Strz. Wcielona do pułku huzarów w Brygadzie Spahisów. Pod koniec działań podobno dołączyła do 2 Dyw. Strz., z którą miała przekroczyć granicę szwajcarską.

—Kompania ppanc. zorganizowana z jednostek ppanc. 4 p.p., dca por. R., przydzielona do 11 Dyw. Piech. francuskiej. Walczy na szlaku: Compiègne — Paris — Angoulème. Odznaczona *Croix de Guerre.*

—Kompania ppanc. zorganizowana z jednostek ppanc 5 p.p. Numer dywizji francuskiej, do której została przydzielona na razie nie znany.

—Kompania ppanc. zorganizowana z jednostek ppanc. 6 p.p. Numer dywizji francuskiej, do której została przydzielona — nie znany.

b/ Około dnia 6 czerwca 1940 r. wcielono do 22 Dyw. Piech. fran. kompanie zmotoryzowaną ppanc., dca kpt. R. Kompania należała do drugiej serii kompanii ppanc. zorganizowanych dla 2 Dyw. Strz. i miała być dywizyjną kompanią ppanc.

W końcowej fazie działań dołącza do 3 Dyw. Piech, którą osłania po osi: Guer — Nancy.

B. Grupa kompanii ppanc., które wyszły z jednostek 3 Dyw. Piech. w dniu 23 maja 1940 r.

—Komp. ppanc. z 8 p.p., dca kpt. Ga., przydzielona do 85 Dyw. Piech. franc. Walczy na szlaku: Amiens — Beauvais — Versailles — Orléans — Montrichard — Loches — Le Blanc — Poitier — Angoulème. Odznaczona *Croix de Guerre.*

—Komp. ppanc., dca kpt. G. Edmund, przydzielona do 17 Dyw. Piech. franc. Walczy na szlaku: Argueil /arrond. de Diéppe/ — Rouen — Nouveau Monde — Chailland /dep. Mayenne/. Dnia 27 czerwca znaczna część kompanii wraz z oddziałami francuskimi, do których była przydzielona wpada do niewoli.

—Kompania ppanc., dca kpt. G—l., przydzielona do 241 Dyw. Piech. franc. Walczy na szlaku: Amiens — Beauvais — Thuri — Paris. Około 15.VI.40 po otoczeniu dywizji kompania zostaje rozwiązana. Jeden pluton dołączył do Brygady Podhalańskiej w Combourg.

—Komp. ppanc., dca por. G. Numer dywizji, do której została przydzielona nie znany. Przechodzi bardzo ciężkie walki. Pozostało około 8% stanu kompanii; zostali odznaczeni *Croix de Guerre.*

—Komp. ppanc., dca kpt. A., przydzielona do 83. Dyw. Piech. franc. Walczy na szlaku: Arcis s/Aube — Troyes. Ciężkie straty szczególnie w skutek bombardowań lotniczych.

* * *

To są tylko z trudem zebrane, krótkie dane o tych kompaniach.

Materiałów w tym dziale brak, zdarzenia zacierają się w pamięci a i uczestników ubywa. Dobrze się więc przysłużą sprawie ci wszyscy, którzy posiadając zapiski i zachowawszy w pamięci zdarzenia, przyczynią się do rozjaśnienia historii polskich kompanii ppanc., napiszą wspomnienia z kampanii 1940 r. odbytej w tych jednostkach.

W dniu 3 czerwca 1943 r. żołnierze polskich kompanii ppanc. ze wzruszeniem słuchali pierwszej wzmianki o istnieniu i walkach ich jednostek wypowiedzianej przez usta *speaker'a* radia londyńskiego. Niech to im będzie nagrodą za ich krwawy znój i wierność hasłu "Honor i Ojczyzna" któremu byli wierni, choć nie dane im było walczyć pod polskimi rozkazami.

STEFAN GRUCA

II. KORPUS POLSKI NA FRONCIE WŁOSKIM

II. Korpus polski pod dowództwem gen. Andersa znajduje się od kilku tygodni na ziemi włoskiej obok słynnej 8-ej Armii. Dotychczas brał udział w działaniach wojennych na małą skalę, ale znalazł się pod ostrym obstrzałem propagandowym, który na pewno nie osłabi jego ducha. W tej chwili wśród żołnierzy II. Korpusu znajduje się Naczelny Wódz i jego Szef Sztabu gen. Kopański, były dowódca Brygady /później Dywizji/ Karpackiej, która obecnie wchodzi w skład Korpusu. Niedawno odwiedził go następca Montgomery'ego na stanowisku dowódcy 8-ej Armii, gen. Leese.



Dowódca II Korpusu polskiego we Włoszech generał dywizji Władysław Anders

Załoga polska przy dziale przeciwlotniczym Bofors



A P E W U

IV.*

WIELKIE ĆWICZENIA

Dosłowny szał pracy ogarnął nasz sztab po otrzymaniu założeń do wielkich ćwiczeń, jakie się miały odbyć z angielską armią Lewantu. Na odprawie Sztabu i dowódców wielkich jednostek, gen. Anders podkreślił: "Pamiętajcie, że ćwiczenia te są sprawdzianem naszej gotowości bojowej na każdym szczeblu dowodzenia i wykonania. Mają się one odbyć w warunkach jak najbardziej zbliżonych do warunków wojennych. W charakterze gości i widzów ma w nich wziąć udział król grecki i jugosłowiański, nie mówiąc o wysokich dowódcach angielskich. Możliwe, że i nasz Naczelny Wódz zaszczyci nas obecnością w tym czasie". Sztab dosłownie orze całe dnie i noce. Niektórzy śpią tylko po parę godzin na dobę. Termin jest krótki, a wszystko musi być na czas przygotowane.

Założenie do ćwiczeń, zwyczajem angielskim, składa się z dwóch części. Pierwsza, ogólna, wychodzi z politycznego założenia wojny pomiędzy dwoma zwaśnionymi krajami. Kraje te, to Filistia /Palestyna/ i Lebanon /Liban/. Ma ona charakter anegdotyczny i jest napisana z humorem. Tym nie mniej wiadomości polityczne tam podane są wiążące dla decyzji natury wojskowej. Część druga ściśle wojskowa ogranicza się już tylko do spraw samych działań wojennych. A więc gen. Anders został naczelnym wodzem "Filistynów" z zadaniem rozgromienia odwiecznego wroga z północy. Tyle jeśli chodzi o stronę anegdotyczną, o wojskowej nie wolno pisać.

Pominę więc tę kwestię, a poruszę tu tylko sprawy, które nie naruszą tajemnicy wojskowej. Dla wszystkich nadarzyła się okazja do wykazania istotnej swej wartości, pod bezpośrednią i surową kontrolą rozjemców angielskich. Każda zła koncepcja, każdy błąd czy zła kalkulacja sztabów uwidoczniała się natychmiast u wykonawców. Pomimo bardzo trudnych warunków terenowych i atmosferycznych, Korpus zdał egzamin. Zdał go dowódca, zdały go sztaby i wojsko. Rezultatem widocznym — powołanie na front włoski.

Wszędzie, gdzie miałem sposobność zetknięcia się z oddziałami, wszędzie przebijał entuzjazm i przyrodzona Polakom ambicja. Pokażemy, co umiemy. Nie było takiego wysiłku, którego by nie dokonano, pomimo największego nawet zmęczenia, aby wykazać sprawność i zapał bojowy. Na tysiące samochodów, na jazdy nocne z przyćmionymi światłami po najtrudniejszych serpentynach górskich ilość wypadków była zdumiewająco mała. Jeszcze bardziej zdumiewająco mała była ilość chorych. Niejeden żołnierz prawdziwie chory, przemęczony i przemoczony nie zgłaszał się do lekarza, nie szedł do szpitala, aby wytrwać do końca i nie opuścić ćwiczeń. Zaciętość u żołnierzy była tak duża, że obawiano się w sztabach, aby nie doszło do prawdziwej walki w zetknięciu się z nieprzyjacielem, który przecież nim rzeczywiście nie był.

Skończyliśmy ćwiczenia pochwałami nie zawsze skorych do tego Anglików i najmilszą dla ucha żołnierskiego, choć lapidarną pochwałą Andersa: "Korpus zrobił więcej, niż od niego oczekiwałem".

TEATR

Parę dni wypoczynku wykorzystuje "Kultura i Propaganda" na zaprezentowanie szeregu przedstawień rewiowych i teatralnych. Armia Polska na Wschodzie ma dwa teatry rewiowe i jeden dramatyczny, nie licząc rozmaitych dorywczych imprez. Pierwszy jest kopią warszawskich teatrzyków rewiowych. Krukowski, Lawiński, Terné, Ordonówna, Tom i inni — nie wnoszą nic nowego. Żyją sentymentem do tego co było, a co zostało w Warszawie. Upiększają to rodzynkami aktualności mniej lub więcej udatnymi, ale w rzeczywistości niewiele to pomaga. Drugi teatr rewiowy Ref-Rena jest młody i przebojowy. Ma dużo werwy i dużo młodych talentów. Muzyka, śpiew i taniec dominują. Udatne skecze i groteski urozmaicają całość. Muzyka jazzowa Warsa niewątpliwie dobra, ale dzięki temu wszystko co się śpiewa i gra jest kompozycji Warsa. Nawet kujawiak i krakowiak musi mieć przeróbkę i stempel Warsa. Ponieważ teatr jest przystosowany do występów przed audytorium angielskim, obawiam się, że przeciętny żołnierz angielski będzie myślał, iż muzyka polska zaczyna się i kończy na Warsie. Teatr dramatyczny ma mniej rozgłosu i wrzawy rewiowej. Pracuje spokojnie i rzetelnie. To co dotychczas wystawił, dowodzi solidnej roboty aktorskiej. Nie wiem, czy dobór repertuaru jest szczęśliwy, ale gdy rozmawiałem na ten temat z jednym z powołanych do tego ludzi, przekonywał mnie, iż mają bardzo ograniczony wybór z braku tekstów.

Teatry te nie są właściwie teatrami żołnierskimi, pomimo, że aktorzy noszą mundury. Są to znani z Polski zawodowcy, którzy będą mieli zapewnione powodzenie w każdym środowisku polskim, nie tylko żołnierskim. Dowodem jest stale wyprzedana widownia, gdy jeden z nich daje spektakle w Tel-Aviwie czy Jerozolimie. Angielski program Ref-Rena miał takie samo wzięcie w Kairze i innych środowiskach, zorganizowanych dla wojsk alianckich. Jedno jest niewątpliwe, że wszyscy oni pracują bardzo rzetelnie, wkładając do pracy prócz umiejętności zawodowych dużo serca i zapału. Warto tu dorzucić parę słów uznania pod adresem kierownictwa t.j. Wydziału Kultury i Propagandy A.P.W. i Kierownika Działu Widowiskowego, doświadczonego dyrektora administracyjnego teatru Jaracza w Warszawie.

SŁOWO PISANE I MÓWIONE

Prasa polska na Środkowym Wschodzie składa się z dwóch dzienników i kilku tygodników, nie licząc wydawnictw dorywczych. Jej *service* prasowy jest nieco spóźniony w stosunku do prasy w języku angielskim. Możliwe, że jest to wynikiem trudności w rozsyłaniu dzienników do obozów żołnierskich. Związana z drukarniami miejscowymi, w sobotę świętuje. W wielu wypadkach odnosiłem wrażenie, że żyje ona własnym życiem nie zawsze związana ze środowiskiem, dla którego istnieje. Problemy aktualne, zagadnienia, które nurtują dusze społeczeństwa polskiego, nie zbyt często znajdują na łamach tej prasy swój wyraz. Może w innych okolicznościach ciekawe byłyby wynurzenia znanego pisarza polskiego starszego pokolenia na temat jego sukcesów kulinarnych ongiś, za dobrych czasów w Paryżu, lub przeżycia i wrażenia ze służby w armii carskiej przed wielu wielu laty. Ale dziś, co to nas obchodzi? Mamy tyle żywotnych i ciekawych spraw, że nie ma ani czasu, ani ochoty słuchać rodzinnych opowieści przy kominku dla grzecznych wnuczków. A to niestety powtarza się zbyt często i w każdym wydawnictwie.

Wszystko co się tutaj drukuje znajduje nabywców, bo taki jest głód słowa drukowanego. Każde wydawnictwo ma powodzenie. Biblioteczki wojskowe szczupłe i niewystarczające. Trudno co tydzień czytać ten sam "Potop" a pustynne warunki życia sprzyjają czytelnictwu, nawet u tych, którym to sprawia pewną trudność i którzy w normalnym życiu raczej obchodzą się bez książki. Taki dywizjon lotniczy jest zawalony literaturą i wydawnictwami angielskimi, bo go zaopatruje oficer oświatowy R.A.F., polskiej prasy, polskich wydawnictw prawie nie widać. Periodyki i wydawnictwa polskie z Anglii albo nie docierają wcale, albo z takim opóźnieniem, że niejednokrotnie tracą swą wartość. W Tel-Aviv w kiosku zakupione przeze mnie najświeższe "Wiadomości Polskie" były datowane 6 miesięcy temu. Podróż okrętem z Anglii do Egiptu trwa 14 dni, samolotem dwa dni. Czy by zatem nie można łącznie z angielskimi periodykami przesyłać do Armii Polskiej tutejszych wydawnictw? Coś tu szwankuje, coś nie wszystko jest w porządku. A głód słowa, powtarzam, jest tak wielki, że czyta się wszystko, co wpadnie w ręce. Głód ten powinien i musi być zaspokojony.

Drugim czynnikiem, jeśli chodzi o wiadomości jest radio. Nasz udział w radio palestyńskim jest bez porównania mniejszy, niż w londyńskim. Odległość nie gra tu roli. Kto słucha Jerozolimy, może słuchać i Londynu. Niestety słuchają tylko wybrańcy. Odbiornik jest luksusem. Bardzo drogi i bardzo trudno go dostać. Ani oficera, ani podoficera, ani tym bardziej szeregowca nie stać na kupno odbiornika. Są one po kasynach i świetlicach. Służą zazwyczaj za meble dekoracyjne, bo albo są zepsute, albo odbiór na nich jest potworną kakofonią. To prawda, że wieczorem na Środkowym Wschodzie odbiór jest trudniejszy, ale przy dzisiejszej technice radiowej, gdyby tu były nowoczesne odbiorniki amerykańskie, kwestia w ogóle by nie istniała.

Wskutek tych okoliczności radio nie spełnia prawie żadnej roli kulturalnej w życiu żołnierza. A chcą i pragną tego. Niejednokrotnie widziałem gromady żołnierzy pod oknem baraku zaopatrzonego w radio, słuchających z zainteresowaniem komunikatu z Londynu. Co tu dużo gadać, sam co wieczór przychodziłem pod okno oficera informacyjnego, aby wysłuchać komunikatu z Londynu i dowiedzieć się, co się dzieje na wielkim świecie. Zdaje się, że odpowiednia akcja u Polonii amerykańskiej może dałaby w prezencie naszym żołnierzom we Włoszech i na Środkowym Wschodzie przyjemność słuchania nowin ze świata.

"PESTKI"

Zawadzając o tyle tematów naszego życia na Środkowym Wschodzie trudno pominąć jeden z milszych. Są nim nasze "Pestki", albo jak je zdrobniale nazywają "Pesteczki". Mówiono i mówią o nich tyle, a nieraz niesprawiedliwie, że muszę i ja dorzucić swoje dwa grosze. Kiedy je pierwszy raz zobaczyłem po przyjeździe z Anglii, a więc po blisko czteroletnim niewidzeniu kobiet polskich, uderzył mnie ich wygląd zewnętrzny, tak różny od Angielek. Prawie wszystkie są pulchne, okrągłe.

Cóż o was napisać? Że uczycie się pilnie w Jeninie, żeście rezolutne i zdolne. Że doskonale prowadzicie ciężkie wozy ciężarowe, niczym doświadczeni szoferzy. Że troskliwie pielęgnujecie żołnierzy w szpitalach. Że znosicie wszystkie niegrzeczności podenerwowanych panów wojskowych, nie dostających natychmiast połączenia: Kilo 89 — Rehowood. Że boicie się, jak ognia waszego tyrana z Rehowood, a lubicie Andersa. Właściwie nie wiem, co mam o was napisać. Może to nie będzie waszym istotnym obrazem, ale napiszę na wesoło, to co bezpośrednio i osobiście przeżyłem w zetknięciu z waszymi siostrzyczkami.

Jadę na jakąś tam angielską odprawę do Jerozolimy. Śpieszę się, bo mi szofer zmarudził. Przed zakrętem na drodze zwalniam. Dzięki temu widzę, że spod samotnego dużego samochodu ciężarowego wystają pełnokształtne nóżki niewieście. Trzeba pomóc, dziewczyna szofer pewno nie bardzo daje sobie radę. Podchodzę, ona mnie nie widzi, ani ja jej. Pytam uprzejmie co się stało, może pani pomóc? Chrapliwy głos spod samochodu wyrżnął mi taką odpowiedź w najczystszej gwarze nadwiślańskiej szoferaków warszawskich, że spłonąłem dziewiczym rumieńcem, pomimo, że dziewictwo moje należy do zamierzchłych czasów. Mój szofer zarechotał wesoło, a ja szybciutko, jak tylko można, popędziłem do mego pudła. Prześladowało mnie to do tego stopnia, że w każdej "drajwerce" widziałem wyzwoloną praktykantkę z garażu na Woli.

Znowu tam gdzieś jadę, zamyśliłem się i nie patrzę na drogę. Szofer przystaje, co jest? Ano trzeba pomóc. Patrzę, z boku szosy dwa wozy ciężarowe. Jeden z podniesioną przykrywą, kręcą się bezradnie koło niego dwie dziewczyny w mundurach polskich. Grupa Arabów przygląda się obojętnie, nie kwapiąc się do żadnej pomocy. Mój szofer pomaga, usuwa drobny defekt i zapuszcza silnik. Obie są szczęśliwe, klaszczą w ręce jak dzieci, spierając się, która miała rację. Podchodzą do mnie i dziękują za pomoc. Ściskam ich zasmarowane i chropowate od pracy ręce i zapominam o poprzednim incydencie.

N.W. W A.P.W.

Przyjazd Naczelnego Wodza do Armii Polskiej na Wschodzie jest zdarzeniem. O niczym innym się nie mówi. Żołnierz zna gen. Sosnkowskiego, szanuje i poważa. Armia i Korpus pragną zaprezentować się jak najlepiej. Idą więc przygotowania przeglądów, ćwiczeń, defilad na wielką skalę. Przegląd wojska, dokonywany przez Naczelnego Wodza jest zawsze świętem. Wszyscy przygotowują się do tej uroczystości ze starannością i skupioną uwagą.

Dowiedziawszy się o przypuszczalnej dacie przylotu Naczelnego Wodza do Kairo, biorę "Hurricane'a" pod siebie i lecę tam także. W towarzystwie gen. Sosnkowskiego znajduje się nowomianowany Inspektor Lotnictwa, winienem go zatem powitać. Część mojej drogi prowadzi przez morze, a większość przez piaszczystą pustynię. Wylatuję w gorące południe, chłodzę się wysokością. Morze jest śpiące i leniwe, jego granatowy kolor silnie odbija od piaszczystych wybrzeży. Dalej, jak okiem sięgnąć, ocean piachu. Zbliżam się do kanału Suezkiego, widać go z daleka, jest podobny do wąskiej połyskliwej taśmy przecinającej pustynię. U górnego końca tej taśmy port Said z głębokim zalewem morskim, a na południu zielona Ismailla z nieruchomą taflą jeziora.

Mijam jedno i drugie i znów nurzam się w piachu pustynnym. Z daleka zieleni się delta Nilu. Wszędzie tam, gdzie dochodzi woda jest zieleń. Gdzie jej nie ma, żółci się piach. Nie ma właściwie przejścia z bogatej zieleni delty do pustyni. Zieleń ta jest jakby odcięta nożem od olbrzymich przestrzeni piaszczystych z tej i tamtej strony Nilu. Z daleka pławi się w słońcu Kairo. Po jego zachodniej stronie, z tamtej strony Nilu, pysznią się ostrymi konturami piramidy.

Ląduję na lotnisku w Heliopolis w oślepiającym blasku słonecznym, którego nawet nie łagodzą moje ciemne okulary. Dowiaduję się, że podróż Naczelnego Wodza opóźniła się o parę dni. A szkoda, bo uroczystości z jego przybyciem związano z rocznicą 11 listopada. Tyle pracy, tyle przygotowań.

Mam trochę wolnego czasu, więc poświęcam go na odwiedzenie naszego gimnazjum lotniczego w Heliopolis. Gimnazjum liczy kilkuset chłopców i jest rozlokowane w obozie o charakterze i rygorze wojskowym. Opiekuje się nim pod względem potrzeb życiowych angielski komendant stacji, którego chłopcy bardzo lubią, nazywając pieszczotliwie "Daddy". Podobają mi się te chłopaki — opalone, jędrne, zdrowe i wysportowane. Ustawieni do jakiegoś przeglądu stanowią u podstawy idealnie równą linię. Gorzej z linią górną, która gwałtownie spada od prawego do lewego — coraz młodsze pędraki, im bliżej końca.

Nauczyciele ich chwalą, uczą się dobrze i chętnie. Wielu o dużych wrodzonych zdolnościach. Poza wykładami, przewidzianymi programem dla gimnazjum, czerpią wiedzę lotniczą i zaznajamiają się praktycznie z techniką w lotniczych warsztatach szkolnych. Pożyteczna instytucja. Chłopcy będą mieli zawód i chleb w ręce. A specjalnie w dziedzinie technicznego wyszkolenia potrzeba będzie w Polsce jak najwięcej młodych mózgów i rąk dobrze przygotowanych do swego zawodu. Opuszczam to gimnazjum lotnicze pod wrażeniem jego wartości. Szkoda, że nie mamy ich więcej.

Wreszcie, oczekiwany z taką niecierpliwością Naczelny Wódz przyleciał. Lwowiaki chodzą dumne, przyleciał bowiem na *"Spirit of Lwów"*. Kilkutygodniowy pobyt wypełniony jest od rana do wieczora, a często i do później nocy, przeglądem oddziałów, udziałem w ćwiczeniach, konferencjami i odprawami. Generał jest wszędzie, interesuje się wszystkim. Każdy ma możność zetknięcia się z nim a i często porozmawiania.

Najefektowniej przedstawiła się artyleria w ostrych ćwiczeniach zmasowanego i precyzyjnego ognia swych dział. Nie znaczy to, aby inne rodzaje broni gorzej wypadły. Prezentowały się wspaniale. Rwały oczy doskonałym wyglądem, wyszkoleniem i dyscypliną. Te masy żołnierskie doskonale wyekwipowane i uzbrojone, niczym nie przypominały, że jeszcze nie tak dawno była to banda wygłodniałych obdartusów ze smutnej pamięci łagrów i więzień sowieckich. Z łachmanami, brudem i wszami zrzucili tę przeszłość, aby znów stać się tym czym byli — żołnierzami Najjaśniejszej Rzeczypospolitej. Są oni dowodem, jak silna jest nasza rasa, jak wielkie jest przywiązanie i miłość do Ojczyzny. Bądźmy spokojni, tacy sami są i ci z obozów niemieckich czy z Polski Podziemnej. Pod tym względem nie ma wątpliwości i wahań. Nie znamy albo-albo, mając jedno jasne, wielkie i wspólne słowo — Polska. Tak myślimy my, tak samo myśli Naczelny Wódz. Powiedział nam to prosto, dobitnie i uczciwie.

Okres inspekcji się kończy. Korpus przenosi się do Egiptu. Stamtąd już tylko skok przez morze i znajdzie się na kontynencie, aby wziąć udział w tej ostatecznej i najważniejszej rozgrywce o drogę do Polski.

PRZED WYJAZDEM NA FRONT

Nowe miejsce postoju na pustyni egipskiej składa się z całego miasta namiotów. Zakwaterowanie oddziałów nie przedstawia w tym klimacie wielkich trudności. Tereny przeznaczone pod obozy z przynależnymi urządzeniami higienicznymi rozrzucone są na dużej przestrzeni. Wszystko to połączone jest doskonałymi drogami asfaltowymi. Ta część pustyni tonie w powodzi świateł elektrycznych, pełna jest kinoteatrów, kąpielisk, kasyn, świetlic i kantyn żołnierskich. Mieszkasz w namiocie, ale masz światło elektryczne, wodociąg i klozet. Ludzi obcych się nie widzi poza sprzątającymi Arabami, bo w około jest istotnie tylko pustynia. Deszczów bardzo mało, dzień słoneczny, przyjemnie ciepły, a noc chłodna. Najdokuczliwsze są burze piaszczyste. Drobny pył niesiony przez wiatr wciska się wszędzie, nie ma możliwości uchronienia się przed nim. Wiatrem podszyte płótna namiotu nic tu nie pomogą.

Okres oczekiwania oddziałów na kolejność załadowania daje niektórym z dalszej kolejki trochę wolnego czasu. Każdy stara się wymknąć do Kairo, Aleksandrii, czy innej miejscowości, aby rozerwać się, porobić zakupy i tak popętać się bez celu, jak to Polacy lubią. Zwiększa to trochę ilość wypadków samochodowych. Po takich wyczynach najwięcej kłopotu ma żandarmeria, sąd i najbliższy szpital. Na szczęście nie są to wypadki nagminne. Rodzą one oprócz kar różnego rodzaju, dykteryjki. Oto jedna z nich.

Jak wiadomo wielkie jednostki mają swoje godła noszone na rękawach mundurów i malowane na samochodach. Tak jest w armii angielskiej i tak u nas. Mamy więc: żubra, świerk, rycerza pancernego, syrenę i inne. Na jednej z dróg "pancerniak" starał się wyprzedzić "żubra". "Żubr" wziął na ambit i przez ileś tam mil nie dał się wyprzedzić. "Pancerniaka" oczywiście — krew zalewała. W pewnym momencie "żubr" nagle przystanął. "Pancerniak" minął go i przystanął także, a nie mogąc jakoś wywrzeć gniewu, urwał kilka przydrożnych badyli i podchodząc do szofera ze znakiem żubra powiedział złośliwie: — Jakeś byku trawkę zobaczył, toś przystanął wreszcie. Tamtem wydął pogardliwie usta i wskazując ręką przed siebie odpalił: — Aleś się kiwnął. Popatrz tam, jak syrena leży rozwalona pod świerkiem. Puściłem cię, abyś się na niej położył. Istotnie w rowie leżały dwa rozbite samochody, jeden ze znakiem syreny a drugi ze znakiem świerka.

Ogarnia nas *"Reise Fieber"*, jak mawiali starzy Polacy. Kiedy wreszcie? Każdy się denerwuje. Stwarza to tysiące plotek. Anglicy są mądrzy. Jak zachować tajemnicę daty załadowania przy gadatliwości Polaków? Robią więc kilka sztucznych alarmów wyjazdowych, które w ostatnim momencie odwołują. Dobry sposób, bo nawet urodzonych bajczarzy zbija z tropu. Nie ma obawy, wszyscy odejdą w przepisanej tabelą kolejności.

Dla mnie tylko nie ma fałszywego alarmu. Wracam do Anglii, a szkoda, bo wolałbym pójść z nimi.

ADAM WOJTYGA

---

* Por. nr. 9, 11, 12 "Polski Walczącej" z.b.r.

Bez blackoutu

Do tej pory było trudno o . . . papier. Teraz zaczyna być trudno o . . . słowo. Trzeba liczyć się ze słowami, trzeba dobierać słowa bardzo ostrożnie. Nigdy jeszcze tak łatwo i tak szybko nie przekręcano i nie wypaczano treści naszych słów, jak w tej chwili; nigdy jeszcze w grze skierowanej przeciw sprawie polskiej słów naszych własnych nie obracano tak perfidnie przeciw nam. Dlatego co raz trudniej o słowo. Dlatego co raz większa odpowiedzialność tych, którzy jeszcze pisać mogą i muszą.

Ludzka to bardzo rzecz poznawać wartość po stracie. Dzisiaj widzimy, że wartość słowa wzrasta w miarę ograniczania możliwości jego swobodnego użycia w chwili, gdy mnożą się tematy, których życie, niestety, nie skąpi, których omówienie należy do obowiązków dziennikarzy i publicystów.

Polskie słowo mówione i słowo pisane ma jedną, jedyną rolę do odegrania w chwili obecnej, rolę s ł o w a w a l c z ą c e g o. Nie wolno mu być słowem łudzącym, pustym, niedomówionym lub, co gorsza, fałszywym. Słowo nasze będzie ostrożne, będzie odważane. Zdawać sobie musimy sprawę, że na jego dźwięk i sens czyha obca propaganda już nawet "made in London", że potem je zniekształci i bumerangowym sposobem rzuci w naszą stronę.

Polskie słowo walczące nie może zejść z pola bitwy. Bitwa ta jeszcze nigdy nie była tak ciężka. Były momenty w dziejach prasy i publicystyki polskiej trudne, skomplikowane, drażliwe, były momenty wyczerpujące odwagę i pomysłowość odpowiedzialnych piór, lecz sytuacja obecna nie da się z niczym porównać.

Rolę polskiego słowa walczącego w chwili obecnej określam jako kontynuację bezkompromisowej walki z obcą propagandą, która godzi w całość naszej Ojczyzny; jako podjęcie generalnej rozprawy ze sprzedawczykami, którzy tu na terenie Wielkiej Brytanii i Stanów Zjednoczonych "hołdy składają", telegramy wysyłają, co gorsza odważają się podejmować handel ziemiami swego kraju. Na szczęście są oni nieliczni i niewyborowi, ale trzeba ich zapamiętać, ale trzeba podjąć z nimi rozprawę.

Bardzo niewdzięcznym, ale koniecznym zadaniem polskiego słowa walczącego jest w chwili obecnej szybkie i bezwzględne eliminowanie spośród nas ludzi słabej woli, ludzi, których w sensie moralnym trzeba nazwać "kapitulantami". Są oni również nieliczni i nieodpowiedzialni, ale są i zbyt łatwo przechodzą do porządku dziennego w rozmowach, dyskusjach, czy opiniach nad trudnymi zagadnieniami bieżącymi i nad przyszłością Ojczyzny. Te ofiary wojny, ofiary własnego wygodnictwa i sobkostwa myślą tylko o jednym: o zabezpieczeniu sobie własnej wygodnej przyszłości. Jest to zupełnie oczywista, na egoizmie oparta, kapitulacja moralna, której walkę musi wydać słowo.

Kapitulacja ta przybiera czasem formy na pozór bardzo niewinne. N.p. w wygodnym "flaciku" londyńskim zaczyna się szeptać o tym: jak i do czego i poco będziemy wracać, o tym, czy nie lepiej pomyśleć nad pozostaniem w Anglii, a po tym . . . sposoby zabezpieczenia sobie praw osiedleńczych na tym terenie posuwa się bardzo daleko czasem nawet aż do urodzenia potomka, który czasem bywa owocem miłości, a niekiedy owocem perfidnych przemyśleń emigracyjnych. Potomek ten według kalkulacji troskliwych o siebie a "niewylądowanych" rodziców, ma być tarczą ochronną wobec władz angielskich, która zabezpieczy wygodną przyszłość a niewinnością swoją pokryje fakt zbyt skwapliwej kapitulacji.

Cynizm pewnego, na szczęście znikomo niewielkiego, odłamu emigracji polskiej w Wielkiej Brytanii to chyba najbardziej zatrważający i przykry objaw, z którym musi się rozprawić słowo walczące. Cynizm ten objawia się w rzeczach drobnych, czasem — jak zaznaczyłem — na pozór niewinnych, ale niestety łatwo się rozpowszechnia i zaraża zdrowych moralnie. W chwili, gdy jedyną myślą uczciwego Polaka może być tylko myśl o przyszłości Ojczyzny — cynikiem i człowiekiem bez charakteru trzeba nazwać "kapitulanta", który skrzętnie i planowo układa sobie spokojną przyszłość . . . poza Polską. Jest to tym boleśniejsze, że dzieje się w chwili, gdy przyszłość Ojczyzny jest zagrożona.

Słowo walczące musi wykreślić ze słownika obecnych rozmów słówko: "JA" i słówko: "TRUDNO" . . . Podkreślić trzeba czerwonym, albo lepiej czerwono-białym ołówkiem słowo: "NIGDY!" i . . . "OJCZYZNA". I walczyć.

Niech się rodzą we "flatach" angielskich i szkockich nowi obywatele Rzeczypospolitej /a może Wielkiej Brytanii?/, ale niech matka uczy ich wraz z pierwszym pacierzem słowa: WRÓCIMY, niech im powtarza opowieść o wyniszczonej, biednej Ojczyźnie, którą wszyscy razem musimy szybko odbudować z ruin, do której musimy powrócić, by zastąpić na posterunkach tych, którzy teraz walczą tam codziennie z myślą nie o swojej, lecz o sprawie polskiej przyszłości.

Na szczęście — jak zaznaczyłem — tych cynicznych, koniunkturalnych kombinatorów jest niewielu, jest znikomo mało. Ale jest ich dość, aby zarażali . . .

Nie myśleć o sobie w tym momencie, zdobyć się na wyrzeczenia i ofiarność, to dowód charakteru, uczciwości i dojrzałości społecznej. Z tym większą przyjemnością zaznaczam, że obserwacje z ostatnich objazdów oddziałów naszego Wojska w Szkocji upewniły mnie raz jeszcze o doskonałym, nieskazitelnym nastroju duchowym żołnierza. Mimo prób obcej propagandy dążącej do rozbicia jedności żołnierskiej, osłabienia postawy, żołnierz jest odporny, dojrzały, odrzuca myśl o sobie, łatwo zdobywa się na ofiarność. Słowo polskie powinno te objawy w chwili obecnej tym mocniej akcentować.

Dlatego wcale nie odbiegając od tematu dzisiejszego felietonu pozwalam sobie na tym miejscu raz jeszcze złożyć serdeczne podziękowania żołnierzom I Dywizji Pancernej za niezwykle ofiarne poparcie zbiórki na "paczki od serca", organizowanej z okazji przedstawień Czołówki Teatralnej "Lwowska Fala".

Za złożonych ochoczo £214 uścisną Wam kiedyś serdecznie dłoń koledzy, przebywający obecnie w niewoli niemieckiej.

WIKTOR BUDZYŃSKI

Poszukiwani

WYKAZ Nr. 36
CIĄG DALSZY

Osoby te jak również znajomi, posiadający bliższe dane a zwłaszcza adresy zainteresowanych, proszeni są o przesłanie ich do Wydziału Rodzin Wojskowych Ministerstwa Obrony Narodowej /Polish Military Families Office/, 5, West Halkin Street, Londyn, S.W.1.

124. **Rabiarz** Piotr kpr. — poszukiwany przez żonę Franciszkę i dzieci — Albinę i Mieczysława zam. w Z.S.R.R. /3800/77/.

125. **Rachwał** Michał plut. — poszukiwany przez żonę Katarzynę i dzieci — Janinę i syna Romana zam. w Z.S.R.R. /3800/76/.

126. **Rapacki** Michał wojskowy — poszukiwany przez żonę Barbarę i dzieci Władysława i Teodor oraz ojciec Patejuk Michał i Bożyk Eufrozyna zam. w Z.S.R.R. /3800/74/.

127. **Sajczuk** Władysław sierż. — poszukiwany przez żonę Eugenię i dzieci — Zbigniewa i Edwarda zam. w Z.S.R.R. /R/63/.

128. **Sękowski** Joachim — poszukiwany przez żonę Annę i dwoje dzieci oraz siostrę zam. w Z.S.R.R. /R/62/.

129. **Sienkiewicz** Stanisław plut. — poszukiwany przez żonę Helenę i dzieci — Romualda i Czesławę zam. w Z.S.R.R. /3800/77/.

130. **Siuba** /lub Siubow/ Józef plut. — poszukiwany przez żonę Marię i syna — Zdzisława zam. w Z.S.R.R. /3800/79/.

131. **Sosnowski** Józef mjr. — poszukiwany przez żonę Marię i córki — Zofię i Wandę zam. w Z.S.R.R. /3800/69/.

132. **Starzyk** Kazimierz por. był w Kozielsku — poszukiwany przez żonę Stefanię i syna Jana zam. Z.S.R.R. /R/10/.

133. **Smacorz** Józefa — poszukuje Mikowski Karol Anglia /5555/.

134. **Sowiński** Stanisława — poszukuje Adam Sowiński, Anglia /5555/.

135. **Schramm** Zygmunta inż. arch. ur. 1888 r. w Krakowie mjr., — poszukuje żona Stanisława Polish Forces M.E. 222.

136. **Szpakowskiego** Adama ppor. 61 p.p w Bydgoszczy — poszukuje matka Augustyna Polish Settlement Rusape Southern Rhodesia, South Africa /6063/.

137. **Stepan** Stefan plut. — poszukiwany przez matkę Helenę, córkę Marię i Lisiecką Olgę zam. w Z.S.R.R. /3800/81/.

138. **Stepaniuk** lub Stefaniuk Maksym szer — poszukiwany przez żonę Anastazję i córkę Annę zam. w Z.S.R.R. /3800/73/.

139. **Swidrak** Józef por. — poszukiwany przez żonę Anielę i córkę Ludwikę zam w Z.S.R.R. /3800/79/.

140. **Szczur** Jan kpr. — poszukiwany przez żonę Rozalię i dzieci Adama i Czesławę zam. w Z.S.R.R. /3800/79/.

141. **Szpakowski** Stanisław szer. — poszukiwany przez żonę Aleksandrę i dzieci Janina i Franciszek zam. w Z.S.R.R. /3800/79/.

142. **Szuchniewicz** Stanisław ppor. — poszukiwany przez żonę Janinę i córkę Halinę zam. w Z.S.R.R. /3800/82/.

143. **Szylderowicz** Władysław st. sierż. — poszukiwany przez żonę Barbarę i dzieci Zenona i Ryszarda zam. w Z.S.R.R. /3800/78/.

144. **Toska** Henryk — poszukiwany przez matkę Ludwikę, Polish Forces M.E. 202 /5793/.

145. **Tumiłowicz** Stanisław st. sierż. — poszukiwany przez żonę Jadwigę i syna zam. w Z.S.R.R. /R/7/.

146. **Twardowicz** Bolesław sierż. — poszukiwany przez żonę Helenę i syna Jerzego i matkę Matej Karolinę zam. w Z.S.R.R. /3800/72/.

147. **Wasilewski** Aleksander kpr. — poszukiwany przez matkę Kunegundę i rodzeństwo — Czesława, Stanisława, Irenę i Witolda zam. w Z.S.R.R. /3800/78/.

148. **Wawryka** Aleksander kpt. — puszukuje żona Albina, córka Aleksandra-Urszula, matka Pędziakow Franciszka i siostra Pędziakow Helena, zam. w Z.S.R.R. /R/63/.

149. **Warec** Michał plut. podchr. ur. 1916 r. — poszukuje brat Piotr, Polish Forces M.E. 453 /6647/.

150. **Weber** Jerzy Witold — poszukuje por. Witold Orłowski, Polish Forces M.E. 587 /6644/.

151. **Welk** Marian kpr. — poszukiwany przez matkę Paulinę zam. w Z.S.R.R. /R/62/.

152. **Więckowski** /bez imienia/ lotnik — poszukiwany przez matkę Norbertę zam. w Z.S.R.R. /3800/96/.

153. **Wierzbicki** Kazimierz por. — poszukiwany przez żonę Janinę i dzieci Jerzego i Krzysztofa zam. w Z.S.R.R. /3800/79/.

154. **Wilczewski** Andrzej ur. 1926 r. Szemiotówka, Kobryń — poszukuje matka Felicja, Jaffa, Palestine /6657/.

155. **Wilczyński** Józef sierż. — poszukiwany przez żonę Marię i dzieci — Aleksandra, Zbigniewa i Barbarę zam. w Z.S.R.R. /3800/80/.

156. **Wotruba** Karol kpt. — poszukiwany przez żonę Helenę i córkę Marię zam. w Z.S.R.R. /3800/73/.

157. **Wrońskiego** Antoniego por. C.W.S. Modlin ur. 1908 r. — poszukuje żona Zofia, Alger /5555/.

158. **Wolk** Józefa i Wincentego — poszukuje Wolk Jan Anglia /5555/.

159. **Zabaryło** Michał uczeń Szkoły Lotniczej — poszukiwany przez matkę Elżbietę zam. w Z.S.R.R. /3800/71/.

160. **Zalejko** Romualda ur. 1918 r. w miejsc. Dziemierze pow. Postawy — poszukuje brat Antoni, Polish Forces P/76 K. /5617/.

"Through Polish Eyes"

Tak się złożyło, że do niedawna nie widziałem propagandowej Wystawy Fotograficznej "*Through Polish Eyes*" mimo, iż "jeździ" ona od dwóch lat blisko po całym obszarze Wielkiej Brytanii. Ale przysłowie: "co się odwlecze, to nie uciecze" — sprawdziło się i tym razem, ostatecznie dopadłem ją niedawno w Edinburghu, gdzie ulegając niezmiennemu prawu emigracyjnemu wzorem wszystkich innych instytucji cywilnych i wojskowych, wystawa przechodziła . . . reorganizację.

Niechże podejrzliwy Czytelnik nie przypuszcza zaraz Bóg wie czego. Sprawa jest prosta: po dwuletnim objeździe trzeba eksponaty odświeżyć, uzupełnić nowymi zdjęciami, ubarwić innymi motywami szczególnie w tych działach, które budzą największe zainteresowanie zwiedzających Brytyjczyków. Materiału obserwacyjnego do wykorzystania nagromadziło się wiele od 6 marca 1942, kiedy otwarto Wystawę w stolicy Szkocji, do dnia 17 stycznia 1944, w którym to dniu został zakończony pierwszy cykl objazdów.

Wystawa więc chwilowo "odpoczywa," ale jej inicjator i opiekun por. Paweł M. nie zażywa wywczasów,- zajęty przygotowaniem nowej, wiosennej "kampanii." Rozpoczęła się już ona w dniu 13 marca gościną w Birmingham, a potem obejmie 9 innych większych miast środkowej Anglii.

Z dwóch przepaścistych skrzyń wydobywa por. M. zdjęcia estetycznie naklejone na kartony. — "Jest to w znacznej mierze efekt niezwykle życzliwej i bezinteresownej pomocy ze strony Towarzystwa Fotograficznego w Edinburghu — powiada p. M. — które wykonało około 1/3 wszystkich powiększeń, umożliwiając rozpoczęcie objazdu w tym czasie, kiedy środki materialno-techniczne Wystawy były znikome."

Zabieram się i ja do "zwiedzania." Zbiór jest bogaty i — co stanowi szczególną zaletę tego rodzaju imprezy — bardzo różnorodny. Fachowcy więc mogą podziwiać wysoki poziom fotografii artystycznej, zwłaszcza w dziale portretów, roztrząsać subtelną grę świateł i cieni w kilku doskonałych obrazach miasteczek szkockich, piękno i urok krajobrazu Polski, Jugosławii, Grecji, Francji, Afryki Zachodniej, szerokie zaś rzesze zwiedzających z zainteresowaniem oglądają sceny z życia polskich żołnierzy, marynarzy i lotników. Jedna grupa fotografii wywiera najsilniejsze wrażenie, mimo iż pod względem wykonania technicznego są one najsłabsze w całym zbłorze. Są to zdjęcia przywiezione z Rosji: namioty zasypane śniegiem, ochotnicy w łachmanach zgłaszający się do szeregów, ćwiczenia gdzieś za Wołgą . . .

Daje się odczuć brak większej ilości fotografii z akcji bojowej, które niewątpliwie potrafiłyby najsilniej przemówić do widza brytyjskiego, ale tych zdjęć w ogóle nie ma w nadmiarze, a poza tym ze względów bezpieczeństwa nie można pokazać wielu rzeczy niezwykle ciekawych. Nie mniej jednak i to co jest, spełnia dobrze rolę dokumentu, że Polska od chwili wybuchu wojny nie przestaje walczyć na lądzie, na morzu i w powietrzu.

Pytam o autorów zdjęć. Otrzymuję piękny ilustrowany katalog /w ciągu trwania pierwszej serii objazdów rozeszły się 3 nakłady/ i znajduję nazwiska. Są tam znane i dobrze zapisane w fotografice nazwiska: Bujaka, dr. Cypriana, śp. Pikiela, są prace bezimienne i są — najliczniejsze w całym zbiorze — zdjęcia wykonane przez żołnierzy od szeregowca do pułkownika. Eksponaty "asów" niewątpliwie wpłynęły na podniesienie poziomu wystawy, ale charakter i "atmosferę" stworzyły prace żołnierzy: zdjęcia z wędrówki, z postojów, z pracy dnia codziennego.

Dostrzegli to w wielu wypadkach dziennikarze brytyjscy i zwiedzająca publiczność. "*Exhibition of Polish photography is an interesting historical record of the wanderings and vicissitudes of the Polish Forces since the German invasion . . .*" — pisze o Wystawie edynburski korespondent "*Timesa,*" a organ z Liverpool zauważa: "*Exhibition forms a wonderful collection and fills one with admiration for the indomitable spirit that has made such a triumph possible.*" Podobne stwierdzenia powtarzają się w wielu innych wzmiankach i omówieniach.

Zdjęcia z wędrówki, chwytane "na gorąco," w przelocie, charakterystyczne motywy krajobrazu, zabytki historyczne Jugosławii, Grecji, Francji, Afryki — powiedziały mieszkańcom tej wyspy, jak dalekie i bardzo okrężne były drogi, które wiodły żołnierzy polskich do tej ostatniej reduty wolności, jaką po upadku Francji, długi czas była Wielka Brytania i u jej boku — Polska. Uświadomienie tej prawdy Brytyjczykom w tych ośrodkach, gdzie gościła Wystawa, udowodnienie jej "do oczu" było poważnym sukcesem propagandowym w najlepszym znaczeniu tego słowa.

Dopytuję się o konkretne dane z objazdu, o cyfry . . . Wyniki są poważne, niekiedy doskonałe. W ciągu niespełna 2 lat odwiedziła wystawa 23 miast i miasteczek na przestrzeni od Edinburgha do Penzance w Kornwalii. Zwiedziło ją 110,000 osób. Rekordowe powodzenie miała Wystawa w Edinburghu /15,000 zwiedzających/ i Manchester /9,000/; niezwykłą atrakcją była także w Liverpool, Sheffield, ale rekord frekwencji dzierży niewątpliwie Truro, stolica Kornwalii, gdzie zwiedziło wystawę około 12% ogółu mieszkańców miasta.

Dzień otwarcia Wystawy połączony był zawsze ze skromną, ale doniosłą manifestacją na cześć Polski, w której brali udział przedstawiciele Armii Brytyjskiej, władz państwowych i komunalnych organizacyj społecznych. Niekiedy okres pobytu Wystawy był wyzyskany do propagandy muzyki polskiej /5 koncertów z udziałem Henryka Mierowskiego/. Warto wreszcie zanotować, że rozdzielono w tym okresie ponad 200 broszur o Polsce w języku angielskim a na fundusz pomocy dla Polaków w Rosji zebrano z dobrowolnych składek zwiedzających przeszło £500, które przekazano do P.C.K. za pośrednictwem "Polski Walczącej."



Takie są pokrótce wyniki osiągnięte przez Wystawę w ciągu pierwszego okresu jej wędrówek po Wielkiej Brytanii. Inicjatywę żołnierzy poparło Dowództwo I. Korpusu, później z pomocą przyszła dobrze zasłużona dla sprawy polskiej instytucja "*British Council,*" wreszcie opiekę przejęło Ministerstwo Informacji i Dokumentacji.

Wspomniano już o bogatym pokłosiu artykułów i wzmianek dziennikarskich, które z okazji pobytu Wystawy ukazywały się na łamach prasy brytyjskiej. Pobieżne nawet przejrzenie tego zbioru pozwala stwierdzić, że obok ukazania żołnierza polskiego na szlakach jego wędrówki do szeregów odradzającej się armii narodowej, w boju i pracy dnia codziennego — spełniła jeszcze Wystawa drugie bardzo doniosłe zadanie: przyniosła na prowincję angielską wieść o Polsce, ożywiła sympatie, przypomniała rzeczy i sprawy idące z biegiem czasu w niepamięć.

Prasa prowincjonalna, której wpływ na kształtowanie się opinii publicznej jest bardzo znaczny, poświęciła Polsce z okazji pobytu Wystawy "*Through Polish Eyes*" uderzająco wielką ilość zasadniczych, nieraz bardzo gruntownych i obszernych artykułów o historii Polski, o osiągnięciach społecznych dwudziestoletniego okresu po odzyskaniu niepodległości, o polskim ruchu podziemnym, o udziale polskich lotników w "*Battle of Britain*" a marynarzy w "Bitwie o Atlantyk." Ton tych artykułów zawsze poważny, rzeczowy, wiadomości — w odróżnieniu od tego, co nieraz czytamy w dziennikach metropolii, czy innych sławnych organach prasowych — niemal bez wyjątku ścisłe, dokładne.

I w tym właśnie tkwi największy walor propagandowy Wystawy, w tym poważne zadanie, które jeszcze może spełnić w tym bardzo trudnym dla nas i naszej sprawy okresie, że zachęca, że wprost zmusza do spojrzenia na Polskę, na jej sprawy i jej żołnierzy "*through Polish eyes.*" Spojrzenie to nie musi być koniecznie "romantyczne," "polskie," wystarczy rzetelny, uczciwy rzut oka sprzymierzeńca i przyjaciela.

LUDWIK BOJCZUK

Dla Polaków w Rosji: £10,832

Bezimiennie na pomoc Polakom w Rosji sh.2 d.2½.

* * *

P.T. Redakcja "Polski Walczącej",
Przesyłam 10 sh. na pomoc Polakom w Rosji.

Strumieński M.

* * *

Łączną sumę zbiórki w dzisiejszym numerze sh. 12 d.2½ /słownie: dwanaście szylingów, dwa i pół pensa/ przekazaliśmy Polskiemu Czerwonemu Krzyżowi.

Suma powyższa podnosi ogólną sumę zebraną dotychczas na ten cel za pośrednictwem "Polski Walczącej" do £10,832.10.5 /słownie: dziesięć tysięcy osiemset trzydzieści dwa funty, dziesięć szylingów i pięć pensów/, 28 dolarów kanadyjskich, 108 pesetów hiszpańskich, 5,50 dolarów amerykańskich, 15 czerwieńców i 100 milrejsów brazylijskich.

"POLISH CHILDREN RESCUE FUND"

Redakcja "Polski Walczącej" Londyn,
W załączeniu przesyłam British Postal Order Nr. L.I. 052066 na kwotę sh.10, ofiarowaną przez nieznajomą panią junakom na ciastka podczas ich pobytu w Londynie w dniu 15 marca 1944 r.

Junacy przekazują tę sumę na biedne dzieci w Rosji.

D-ca Dyonu Małoletnich
mjr. pil. W.H.

* * *

Szanowny Panie Redaktorze!
Dowódca i Oficerowie Brytyjskiej . . . Misji Łącznikowej przy . . . Dywizji Pancernej, przesłali na moje ręce czek na £20, z prośbą o przekazanie tej sumy na "Polish Children Rescue Fund".

Proszę uprzejmie o skierowanie załączonych £20 pod właściwy adres.
Łączę wyrazy poważania

Generał S.M.

* * *

£6 for the Polish Children Relief Fund offered by Scottish Polish Society, Pitleween Section.

Sumę £26.10.0 /słownie: dwadzieścia sześć funtów i dziesięć szylingów/ przesłaliśmy do Polish Children Rescue Fund.

Zbiórka książek

W załączeniu przesyłam "The Token Stamp" wartości sh.10.6 z prośbą o zakupienie książek dla bibliotek żołnierskich na Środkowym Wschodzie.
Czołem

M.B.

Za ofiarowany Book Token zakupiliśmy: A. Fiedler: "Dywizjon 303", R. Kiersnowski: "Zjazd w Nowogródku", A. Mickiewicz: "Konrad Wallenrod", "Opowiadania o nas wszystkich".

* * *

Do redakcji "Polski Walczącej",
W załączeniu przesyłam dla żołnierzy Armii Polskiej na Wschodzie 7 książek, 5 broszur, 1 miesięcznik.
Z poważaniem

R. Świerz

Załączone: W. Queux: "The Man from Downing Street", "The Countryman" /2 egz./, "ABC of the RAF", L. A. C. Errant: "R.A.F'ing it", "Co słychać" /4 egz./, "Lotnictwo bombowe", "Coastal Command", "Bomber Command", "Myśl lotnicza".

Na "paczki od serca": £2,468

I enclose a Money Order for the sum of £13 offered by Scottish Polish Society, Pitleweem Section, for Polish P.O.W. Fund £7 and Polish Children Relief Fund £6.

świetliczarka J. Massalska

* * *

Mieczysław P. na dwie "paczki od serca" według podanego adresu sh.18.6 /osiemnaście szyl. d.6/.

* * *

Redakcja "Polski Walczącej",
W załączeniu przesyłam money order na £2 sh.4 uzbierane w świetlicy Saperów Spadochronowych na paczki dla jeńców polskich w Niemczech.

świetliczarka J. Massalska

* * *

£2 sh.3 zebrane dnia 23.III.1944 przez Koło Londyńskie Zrzeszenia Nauczycieli po odczycie p. Marii Brzeskiej — z przeznaczeniem na "paczki od serca".

* * *

Redakcja "Polski Walczącej",
Zamiast wysyłania życzeń wielkanocnych przesyłam £2 na "paczki od serca" dla jeńców polskich w Niemczech.

K.Pł. ppłk. dypl.

* * *

ŁAŃCUCH OFIAR

Z okazji nominacji przesyłam na "paczki od serca" £5 zamiast urządzania "biby" dla kolegów. Równocześnie też wzywam wszystkich nowomianowanych kolegów z Brygady Spadochronowej do utworzenia Łańcucha Ofiar na ten cel i na dalsze jego ogniwa wywołuję ppor. Roberta Broch. i Jana Szyg.

Wacław Urb. ppor.

* * *

Łączną sumę zbiórki w dzisiejszym numerze £19.5.6 /słownie: dziewiętnaście funtów, pięć szylingów i sześć pensów/ przekazaliśmy Sekcji Pomocy Polskim Jeńcom Wojennym Stowarzyszenia Służby Społecznej Kobiet.

Suma powyższa podnosi ogólną sumę zebraną dotychczas na ten cel za pośrednictwem "Polski Walczącej" do £2,468.7.5 /słownie: dwa tysiące czterysta sześćdziesiąt osiem funtów, siedem szylingów i pięć pensów/, 50 milrejsów brazylijskich i 2 dolary amerykańskie.

Następny wielkanocny /14-15/ numer "Polski Walczącej" ukaże się w zwiększonej objętości /12 stron/. Numer ten będzie doręczony w miejscach odbioru oraz pojawi się w miejscach sprzedaży w Wielki Wtorek dnia 4. lub w Wielką Środę dnia 5. kwietnia 1944 r.

WERINAJSEK

. . . ŚMIEJMY SIĘ — BO KTO WIE CZY WOJNA POTRWA TRZY TYGODNIE . . .

PRIMA-APRILIS W BERLINIE



—Wodzu, Ameryka i Anglia proszą o pokój!
—To świetnie. Tylko, czy wy nie chcecie mi zrobić przyjemności w dniu 1 kwietnia?

WNIOSKI

—Czy pan wie dlaczego whisky ma podrożeć?
—? ? ?
—W związku z inwazją kontynentu. Anglicy nie chcą, by ludziska popili się z radości . . .

PORÓWNANIE

—Wie pani, że to Cassino, to mi przypomina kasyno w Monte Carlo!
—Ależ dlaczego?
—Ponieważ z każdego kasyna wychodzi się bez spodni . . .

W NAGRODĘ

Do grupki żołnierzy podchodzi Szkotka-miłośniczka psów:.
—To bardzo ładnie, że tak panowie opiekujecie się tym pieskiem. Widzę, że i cukier dostaje! Zapewne jest maskotą waszego oddziału?
—Nie, tylko ten kundel ugryzł naszego szefa! . . .

PRIMA-APRILISOWY GOŁĄBEK POKOJU . . .



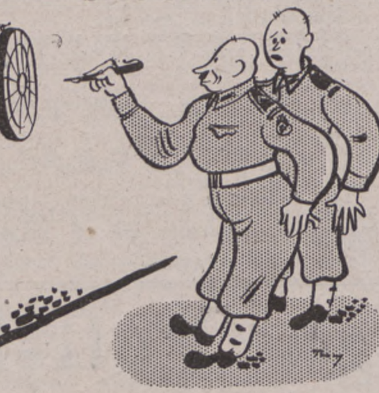
ŻONA I BOMBA

—Wie pan moja żona jest obecnie, jak bomba czasowa!
—Co pan mówi? Tak spokojnie śpi?
—Nie tylko nie wiadomo, kiedy wybuchnie! . . .

SOBOTA W "RUBENSIE"

—Przepraszam pana wachmistrza — zwraca się "strona" — kto jeszcze urzęduje w sobotę popołudniu?
—Sami nowomianowani podporucznicy czasu wojny . . .

SPEC OD PIÓR

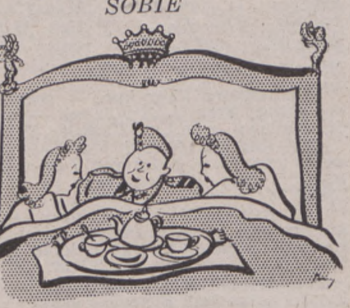


—Mówicie że dostaliście wieczne pióro z Ameryki?
—Tak panie szefie!
—To dobrze, zobaczymy czy jest dobre . . .

SANITARIUSZKA W "RUBENSIE"

Podczas szczepienia jeden z żołnierzy mówi:
—Gdzie pani nauczyła się tak szczepić?
—Szczypać? Jeżeli powiem panu, że w kinie, to czy uwierzy pan?

JAK MAŁY STAŚ WYOBRAŻA SOBIE



. . . "Dobrobyt żołnierski . . ."

ACHTUNG!

Radio niemieckie wprowadziło nowość. Stale nadaje kącik informacyjny p.t. "Achtung, Achtung" o nalotach na Rzeszę. Słyszy się n.p. takie objaśnienia:
Godz. 21.00: Silne formacje bombowców brytyjskich przekroczyły Kanał.
Godz. 21.15: Bombowce minęły Hannower.
Godz. 21.30: Nieprzyjaciel kieruje się na Berlin, Lipsk, Monachium.
Godz. 21.45: Nadajemy chwilę przerwy . . . z przyczyn od nas niezależnych.
Godz. 22.10: Rozpoczynamy dalszy ciąg audycji. Niebezpieczeństwo minęło. Heil Hitler!
Godz. 22.30: Alarm odwołany. Życzymy państwu pogodnej nocy oraz prosimy uziemić antenę. Do usłyszenia do jutra o tej samej godzinie. Heil Hitler!

W NOC KSIĘŻYCOWĄ W LONDYNIE

—Co pan robi na dachu? Czy pan jest "fire-watcher'em"?
—Nie — tylko lunatykiem . . .

FRASZKI

1

Było święto pułkowe i z tej to przyczyny
wojsko na generała czeka trzy godziny.
Rzekł pewien starszy strzelec: Drobiazg — czasu strata,
ja przecież na kaprala czekam już trzy lata!

2

Wykryto raz Polaka w londyńskim shelterze,
choć nie było nalotu. Dziwiono się szczerze.
Zapytany tak odparł: Siedzieć tu nie lubię,
lecz wieczór autorski znów jest w White Eagle Klubie!

Or-Si

W EPOCE OGONKÓW



Policjant: — Na co państwo czekacie?
—Na wybuch bomby czasowej . . .

Tekst i rysunki: **TONY**

WALNE ZEBRANIE CZŁONKÓW Z.A.S.P.

Zarząd Z.A.S.P-u, Gniazdo Londyn, zawiadamia, że Walne Zebranie członków Związku Artystów Scen Polskich odbędzie się w dniu 6-tym kwietnia b.r. o godz. 10-tej rano w lokalu Ogniska Polskiego, 45, Belgrave Square, S.W.1, z następującym porządkiem dziennym: 1/ Zagajenie i wybór przewodniczącego Walnego Zebrania, 2/ Odczytanie protokołu z ostatniego Walnego Zebrania, 3/ Sprawozdanie z działalności Zarządu, 4/ Sprawozdanie Komisji Rewizyjnej i udzielenie absolutorium, 6/ Wolne wnioski.

W razie braku quorum przewidzianego statutem w pierwszym terminie, Walne Zebranie odbędzie się w drugim terminie w tym samym dniu i w tym samym lokalu o godz. 10.30 rano, którego uchwały będą prawomocne bez względu na liczbę obecnych członków.

Wnioski na Walne Zebranie powinny być nadesłane do Zarządu Z.A.S.P.-u najpóźniej do końca marca b.r.

Dyrekcja Polskiej Y.M.C.A. w Wielkiej Brytanii poszukuje pracowników /mężczyzn do lat 50 i kobiet do lat 45/ do pracy w świetlicach i kantynach na wyjazd poza Wielką Brytanię.

Warunki przyjęcia: a/ obywatelstwo polskie, b/ dobry stan zdrowia, c/ wykształcenie najmniej średnie ogólnokształcące lub zawodowe, d/ praktyka w pracy społecznej.

Zgłoszenia tylko pisemne z podaniem dwu referencyj oraz z krótkim życiorysem przesyłać pod adresem: **Polska Y.M.C.A. w Wielkiej Brytanii,** Nash House, 391a. Maddox Street, London, W.1.

IV WIECZÓR LITERACKI

W wiątek dnia 31 marca o godz. 7 wieczór w sali Klubu Białego Orła odbędzie się IV wieczór autorski.
W wieczorze biorą udział:
Porucznik Herbert i Mieczysław Lisiewicz
Wstęp wolny — dobrowolne składki na "paczki od serca" dla jeńców

SPIS RZECZY:

Zygmunt Nagórski, jr.: Dnie i godziny. — *Artur Horowicz:* Wykopywanie miny. — *Zbigniew Grabowski:* Szkic sytuacyjny. — Z tygodnia na tydzień. — *M. J. Gordon:* Nowości lotnicze. — Komandosi polscy we Włoszech /*Maciej Drzewica:* Ostatni patrol rotmistrza W., *Jerzycz:* Słabe odgłosy, *Or-si:* Gwiazdy Komandosa/. — *Stefan Gruca:* Polskie kompanie przeciwpancerne w kampanii francuskiej 1940 r. — Drugi Korpus na froncie. — *Adam Wojtyga:* APEWU /IV./. — *Wiktor Budzyński:* Bez blackoutu. — *Ludwik Bojczuk:* "Through Polish eyes." — Dla Polaków w Rosji. — Zbiórka książek. — Na "paczki od serca". — *Tony:* Werinajsek. — Fotografie. — Mapa.

WYDAJE WYDZIAŁ PRAC KULTURALNO-OŚWIATOWYCH MIN. OBR. NAROD.
Adres Redakcji (Editorial Offices): 5, Portugal St., W.C.2. Tel., HOLborn 7600. I-e piętro.
Redaktor przyjmuje w poniedziałki i wtorki od godziny 11-ej—13-ej.
Redakcja nie zwraca rękopisów niezakwalifikowanych do druku.

Warunki prenumeraty: Miesięcznie z przesyłką pocztową—sh.1. Kwartalnie z przesyłką pocztową—sh.3. Należność prosimy wpłacać przekazem pocztowym (Postal Order) pod adresem Administracji.
Ceny ogłoszeń: 1 cal przez jeden łam—sh.20. Zareserwowane miejsce 50% drożej. Ogłoszenia o poszukiwaniu pracy—2sh. za wiersz.
Adres Administracji (Business Offices): 63, Lincoln's Inn Fields, W.C.2. Tel., Chancery 5505 i 5506.

Printed for "Polska Walcząca" by St. Clements Press, Ltd., Portugal St., Kingsway, W.C.2. Registered at the G.P.O. as a newspaper.